Cena zł 7,-

DRUGA WOJNA ŚWIATOWA

BOHATEROWIE
OPERACJE
KULISY

- Dramatyczne wydarzenia największych zmagań wojennych w historii
- Przełomowe, nieznane momenty walk
- Czujnie strzeżone tajemnice pól bitewnych, dyplomatycznych gabinetów, głównych sztabów i central wywiadu

ukazuje

CYKL WYDAWNICZY

w którego skład wchodzi niniejszy tomik



ZAPAMIĘTAJCIE TEN ZNAK

7/77

CIENIE NA TORZE



JAN BŁAŻEJCZYK

CIENIE
NA TORZE



WYDAWNICTWO
MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

Okładkę projektował
WITOLD CHMIELEWSKI

Redaktor
EUGENIUSZ STANCZYKIEWICZ

Redaktor techniczny
ZOFIA SZYMAŃSKA

ŚWIATŁO W MROKU

Cieplejsza wiosenna noc, pierwsza po wielu dniach przejmującego chłodu, zatrzymała nas w lesie. Zaszyliśmy się głęboko w niedostępnym zagajniku. Do dróg i przejść było stąd daleko, toteż miejsce wydawało się bezpieczne. O tej porze zresztą Niemcy na ogół niechętnie opuszczali swoje kwatery. Jeśli wyruszali w teren, to tylko w większych grupach, przeprowadzając jakieś akcje czy obławy. Nasz partyzancki wywiad — ludzie z wielu okolicznych wsi — tym razem jednak nie sygnalizował nic podejrzanego. Mogliśmy spokojnie odpocząć.

Ścieżki mamulskiego lasu, jednego z wielu na Lubelszczyźnie, znaliśmy jak własną kieszeń. Mnie las edukował, wyrastałem w nim od dziecka. Razem z ojcem chodziłem codziennie na wyrąb, pomagając mu na miarę swych sił, a praca była nad wyraz ciężka. Wstawaliśmy o świcie, aby po skromnym śniadaniu — kromce czarnego chleba i kubku gorącego mleka — wyruszyć w głąb kniei. Stare drzewa niechętnie poddawały

się ciosom siekiery. Po powrocie do domu nie czułem często własnych rąk i ogarniał mnie strach, że jutro trzeba będzie znowu zrywać się z łóżka po pierwszym pianiu koguta.

Las jeszcze drzemał, użyczając gościny moim chłopcom. Biwak to dla nas nic nowego. Szybko więc przystąpiono do przygotowania wygodnych legowisk. Na posterunkach, rozstawionych okrężnie, czuwali wartownicy. Nie baliśmy się dzięki nim zaskoczenia. Partyzanci zaczęli znosić świerkowe i sosnowe gałęzie, układając je na stosy, żeby chłód nie ciągnął od ziemi. Na takim pachnącym „materacu" można było spać nawet w mroźną noc. Od wiatru chroniły nas gęsto rosnące krzewy. Dwa duże świerki, rozłożyste jak parasole, zakrywały niebo nad naszym obozowiskiem. W nocy nic nam z niego nie zagrażało — chyba tylko deszcz — ale w dzień, w pełnym słońcu, mógł nas dostrzec lotnik, o czym zawsze musieliśmy pamiętać.

Panowała cisza przerywana tylko głosem puchacza. Wykrzykiwał swoje hu, hu, hu tak beztrosko, że poczuliśmy się raźniej. Na pewno nikogo obcego nie było w pobliżu. Gdy w lesie panował ruch, puchacz milczał. Ten ptak był naszym sprzymierzeńcem, nikt nie odważyłby się spłoszyć go lub zniszczyć mu gniazda.

Spoglądałem na swoich chłopców, jak krzątali się przy legowiskach. Wychwytywałem w ciemności ich ciche głosy. Niejednego znałem od dzieciństwa, pochodzili z okolicznych wsi, z gminy Gorzków i Izbica. Ci synowie małorolnych chłopów i wyrobników, biedota spod nędznych

strzech, jako pierwsi chwycili za broń i stanęli do walki z okupantem. Młodzi, odważni, zahartowani, często zadziorni z racji swojego wieku, wykazywali zarazem dużą dojrzałość. Wiedzieli, co to znaczy brak pracy i głód. W wyobraźni wyrastał im obraz nowej Polski, nie takiej, jaką pamiętali oni, a zwłaszcza ich rodzice. Bez folwarków i ordynacji, bez wyzysku i poniżania prostego człowieka. Chcieli po prostu żyć inaczej i wierzyli, że takie czasy wkrótce nadejdą.

Szczególną rolę w naszym oddziale odgrywali Władysław Borzęcki i Stanisław Hulak, dużo starsi ode mnie i pozostałych partyzantów. Obydwaj służyli przed wojną w wojsku, wiele pożytecznego wynieśli z tego okresu i teraz uczyliśmy się od nich dyscypliny, znajomości broni, podstawowych zasad taktyki, słowem tego, co było nam tak bardzo potrzebne. Swą postawą i rozwagą wpływali często na rozgorączkowane głowy młodych chłopców, tłumacząc im, że samą odwagą nie wygrywa się walki.

Spałem jak zwykle czujnie. Obudził mnie w środku nocy jakiś szelest. Zerwałem się z legowiska, ale wartownik uspokoił mnie ruchem ręki. Nic się nie stało, to chyba napięte nerwy albo wyobraźnia kazały mi otworzyć oczy. Sen od razu diabli wzięli. Wstałem i sam nie wiedząc dlaczego, ruszyłem przed siebie. Znalazłem w mroku gruby pień zwalonej przez burzę sosny. Tu zatrzymałem się.

Siedząc samotnie, kilkadziesiąt metrów od śpiących chłopców, zacząłem zastanawiać się nad okupacyjną przeszłością. To już piąty rok okrutnej

wojny, tragedii, która dotknęła nas wszystkich. Przypomniał mi się drugi dzień hitlerowskiej napaści na Polskę. Nieprzyjacielski samolot bombardując wówczas moją rodzinną wieś, Piaski Szlacheckie, zabił trzech mężczyzn: Marcina Króla, Antoniego Turkiewicza i Jana Matysiaka. To były pierwsze ofiary wojny, która dotarła na głębokie zaplecze. Nikt wtedy nie przypuszczał, że potrwa ona tak długo, że Polska padnie tak szybko pod ciosami wroga. Ludzie obiecywali sobie wiele po Francji, ale gdy pomoc nie nadeszła i gdy w następnym roku nad Paryżem pojawiły się znienawidzone flagi ze swastyką, nikt już nie wiedział, jaka siła zdoła poskromić potęgę faszystowskiej Rzeszy.

Jakże szybko rozpanoszyła się okupacyjna władza. W naszej gminie Gorzków, jak zresztą wszędzie, już po kilku dniach zaczęły powstawać posterunki żandarmerii i policji. Wypełniły się więzienia. Ofiarą terroru padli między innymi lekarz z Izbicy, Marian Sulewski, i ukrywający się komunista Aleksander Pakulski. Każdy dzień przynosił wieści o nowych represjach. Zaczęło się wywożenie młodzieży na roboty przymusowe do Rzeszy. Nikt nie był pewny swego losu. W Żółkiewce i Izbicy powstały obozy koncentracyjne, do których zwożono ludzi nawet z Francji, Czechosłowacji i Węgier. Ofiary mordowano na miejscu bądź też po „sortowaniu" kierowano do krematorium w Bełżcu. Zobaczyliśmy na własne oczy, co to znaczy ludobójstwo.

W tym trudnym okresie nie myślałem początkowo o walce zbrojnej. Za duża była dysproporcja

sił, żebyśmy mogli z gołymi rękami cokolwiek zrobić. Nie zamierzałem jednak siedzieć bezczynnie, już przed wojną bowiem związałem się z ludźmi o lewicowych poglądach i dzięki nim trafiłem do Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej. Teraz, w zmienionych warunkach, wznowiliśmy dawne kontakty, zastanawiając się wspólnie nad przyszłością. Spotykałem się z Leonem Radeckim, Stanisławem Wożakowskim, Władysławem Borzęckim, Józefem Bidą, Władysławem Krawczykiem i jego bratem Jerzym. Tworzyliśmy razem zwartą grupę, chociaż nikt wówczas jeszcze nie wiedział, od czego należy zacząć bardziej konkretną działalność. Nie mieliśmy żadnego programu, brakowało nam kontaktu z innymi grupami o lewicowych poglądach, choć na pewno takie istniały. Komunistyczna Partia Polski była rozwiązana, nie wiedzieliśmy, czy i kiedy na jej miejsce powstanie nowa, a wszystko przemawiało za tym, że będzie ona utworzona.

Z biegiem czasu nasza grupa zaczęła się rozrastać, dochodzili ludzie nowi, którym odpowiadał wyrażany przez nas punkt widzenia na wiele spraw. Przewidując potrzebę zainicjowania walki z wrogiem, stworzyliśmy zalążki własnej służby sanitarnej, złożonej z młodych dziewczyn, które chętnie garnęły się do roboty konspiracyjnej. Rozwinęliśmy także wywiad. Poprzez zaufanych ludzi docierały do nas różne informacje o poczynaniach okupanta, o jednostkach Wehrmachtu, o sytuacji na froncie wschodnim. Jadący na urlop żołnierze niemieccy mieli często długie języki. Mówili znacznie więcej niż okupacyjne gazety.

Przypominam sobie rok 1941 i dom Piotra Piłata, a w nim zażartych dyskutantów. Tam właśnie po raz pierwszy zaczęliśmy się zastanawiać nad możliwością utworzenia, jeśli nie oddziałów, to przynajmniej grup partyzanckich, niewielkich, lecz ruchliwych. Wyłonił się jednak problem broni. Bez niej nie było po co wychodzić do lasu. Po klęsce wrześniowej ukryto wiele karabinów, pistoletów i amunicji. Gdzieś ta broń musiała być. Postanowiliśmy się rozejrzeć w terenie, porozmawiać z mieszkańcami.

Sięgam myślą do naszych poszukiwań, ale pamięć podpowiada nowe obrazy. Samotne dumanie w mroku staje się jakąś wcale nie zamierzoną przechadzką w przeszłość.

Oto styczniowy ranek 1942 roku. Do naszego domu wtargnęli żandarmi, pustosząc wszystkie izby. Wiedziałem, kogo szukali. Życzliwi ludzie ostrzegli mnie przed niebezpieczeństwem. Podziękowałem im, lecz tego dnia już nie wróciłem do rodzinnej wsi. Od tej pory musiałem żyć na nielegalnej stopie. Ukrywałem się u Heleny i Władysława Borzęckich, potem u Jana Dubaja, krewnego mego ojca. Dzięki tym ludziom, którzy narażali własne życie, mogłem przetrwać. Dzielili się często ostatnią kromką chleba, pocieszali moją matkę i mnie samemu dodawali otuchy. Nie znajduję słów wdzięczności za to, co dla mnie uczynili. Gdy już później znalazłem się w lesie, nadal utrzymywaliśmy bliskie kontakty. Rozszerzyła się płaszczyzna nie tylko wzajemnego zrozumienia, lecz także współpracy. My, partyzanci, u biednych chłopów znajdowaliśmy serdeczną pomoc — często kwaterowaliśmy w ich chatach i stodołach, nie skąpili nam żywności, dostawaliśmy od nich odzież i bieliznę, tam wreszcie wyleczyło się z ran wielu naszych chłopców. Byliśmy wówczas — choć brzmi to zbyt podniośle — zbrojnym ramieniem tych prostych, uczciwych i pracowitych ludzi, wierząc głęboko, że kiedyś staniemy się nim naprawdę w mundurze żołnierza polskiego.

Pod koniec 1942 roku w naszej grupie było już dziesięć osób, związanych wspólną przysięgą, nie licząc oczywiście tych, którzy nam pomagali. Nadal szukaliśmy kontaktu z większymi organizacjami lewicowymi, ale bez rezultatu. Dopiero w styczniu następnego roku zdołaliśmy dotrzeć — nie bez trudności — do Edwarda Szymańskiego — „Krakusa" i Jana Sawczuka — „Marynarza". Ci ludzie, zorientowani lepiej od nas w sytuacji politycznej podziemia, wyjaśnili nam wiele różnych spraw i za ich pośrednictwem zostaliśmy wprowadzeni do Polskiej Partii Robotniczej. Dotychczas nic o niej nie wiedzieliśmy. Słyszeliśmy tylko, że podobno w Warszawie grupa działaczy komunistycznych przystąpiła do wstępnych prac nad odbudową partii, ale były to wiadomości bardzo mgliste i niepewne. Teraz dopiero otworzyliśmy oczy. Partia już istniała, z jej inicjatywy powstała Gwardia Ludowa. Pokazano nam wydawaną w konspiracji prasę i ulotki.

Wkrótce po spotkaniu z „Krakusem" i „Marynarzem" poznałem Gustawa Króla — „Cygana", komendanta powiatowego Gwardii Ludowej, człowieka czynu i odwagi, później mego najlepszego przyjaciela. Był to mój pierwszy kontakt z dzia-

lającą już od dawna zbrojną organizacją lewicy, kolejny krok na konspiracyjnej ścieżce.

Pamięć podsuwa mi nowe wydarzenie. Kiedy to było? Próbuję ustalić datę. Październik? Tak, na pewno koniec października 1943 roku. Właśnie wtedy, w pochmurną i chłodną noc, oddział BCh pod dowództwem Stanisława Sokołowskiego — „Rolnika", razem z oddziałem Gwardii Ludowej z naszego rejonu odbił grupę dwudziestu więźniów w Krasnymstawie. Akcję przeprowadzono dosłownie pod bokiem żandarmów i policjantów, bardzo sprawnie, nie ponosząc żadnych strat. Odbiła się ona szerokim echem wśród miejscowej ludności i przez kilka tygodni wiele o niej mówiono.

W pełni udała się również druga akcja, przeprowadzona przez oddziały GL Leona Radeckiego — „Boleszczyca" i „Cygana". Zaatakowano posterunek żandarmerii w Żółkiewce w celu uwolnienia dwóch aresztowanych — Pawła Stachyry i Jana Wrzyszcza. Groził im wyrok śmierci lub obóz koncentracyjny za współpracę z podziemiem. Obaj musieli się później ukrywać, ale najgorsze mieli już za sobą.

Były także i inne akcje, ale gdy zastanawiam się nad głównym nurtem naszej działalności w 1943 roku, na czoło wysuwa się robota organizacyjna, trudna i ryzykowna. Nasza placówka już okrzepła, chcieliśmy jednak wejść głębiej w teren i to nam się udawało. Powstawały nowe komórki we wsiach Bobliwo, Wielobycz, Orchowiec, Ostrzyca Dwór, Ostrzyca Wieś i Ostrówek. W każdej mieliśmy już swoich ludzi i licznych sympatyków.

Słowa pociechy, które zanosiliśmy mieszkańcom tych wsi, a zwłaszcza organizowanie nowych komórek PPR i placówek GL, sprawiały nam ogromną satysfakcję. Wiedzieliśmy po prostu, że uczestniczymy w pracy ważnej dla przyszłości. Cieszyła nas także postawa ludzi podczas tych spotkań. Nie zawsze od razu znajdowaliśmy wspólny język. Doświadczony przez życie i biedę chłop ważył bez pośpiechu racje, pytał, oczekiwał konkretnej odpowiedzi. Nie przyjeżdżaliśmy przecież jako prelegenci z receptą na wszystko. Byliśmy jednymi z nich, choć w innym miejscu wychowani. Łączyło nas wiele, ale sami też podzielaliśmy niektóre wątpliwości. Nie chodziło o walkę z okupantem — tu panowała jednomyślność — lecz o sprawy powojenne. Łatwo powiedzieć, że lud będzie rządził, że ziemia przejdzie w ręce chłopów, że przemysł będzie upaństwowiony. Rodziło się pytanie, w jaki sposób to osiągniemy? Ot, choćby podział ziemi. Komu, ile, według jakich zasad, na własność czy nie? Albo kwestia handlu. Skoro odrzucamy stary model, to jak będzie wyglądał nowy? Kto ma nas tego nauczyć? Nic dziwnego, że na naszych spotkaniach dochodziło często do burzliwych dyskusji. Zgadzaliśmy się natomiast w jednym, powiedziałbym najważniejszym punkcie: dawne stosunki nie mogą wrócić, kapitalistów przepędzimy precz. Polska ma być ojczyzną ludzi pracy!

Po każdej z takich wypraw powiększały się nasze szeregi. Niedawno, na przykład, byliśmy w Ujazdowie. Do PPR wstąpili tam Jan Gorzkowski, Bolesław Kowalewski, Czesław i Jerzy Szewczykowie, Jan Szałata, Józef Puchacz i kilku in-

nych. Utworzenie komórki partyjnej oznaczało zarazem powołanie nowej placówki GL.

Współpracowali z nami bechowcy. Marceli Treczyński — „Łopata" z Piasków Szlacheckich kontaktował się stale ze Stanisławem Wożakowskim — „Żelaznym", dowódcą placówki GL. Nad podziałem organizacyjnym górował często zdrowy rozsądek, co jednak nie było regułą. Nie mogliśmy się porozumieć z Bolesławem Kukiełką. Owszem, doszło do spotkania, na które udałem się razem z Radeckim, ale Kukiełko zdecydowanie odrzucił nasze propozycje, powołując się na rozkazy swego dowództwa. Więcej dojrzałości wykazali jego ludzie — Jan Panfilowicz, Wacław Stafijowski, Henryk Kowalski i Stanisław Wolos. Nasz program bardziej trafiał im do przekonania, toteż przyłączyli się do GL.

Niechętnie, a nawet wrogo spoglądali na nasze poczynania dowódcy miejscowych komórek Armii Krajowej. Z szeregowymi członkami tej organizacji — zwłaszcza młodzieżą spod strzech — mogliśmy się dogadać. Niektórzy współpracowali z nami wbrew woli swych przełożonych, dzieląc się między innymi informacjami o sytuacji wśród Niemców, znanej im z racji posiadania wielu wtyczek wywiadowczych, ale dla całej „góry" byliśmy po prostu przeciwnikiem politycznym. Kadra AK na naszym terenie, podobnie zresztą jak w innych częściach kraju, wywodziła się z warstw dobrze sytuowanych, nie rozumiejących potrzeb i nadziei biedoty wiejskiej. Cóż mógł o nas powiedzieć dziedzic, rządca, urzędnik noszący w konspiracji oficerski stopień swojej organizacji? My, prości ludzie, byliśmy dla nich tylko siłą roboczą, toteż rzucali się gniewnie, gdy pod ich bokiem wyrastały zręby nowej organizacji z własnym programem przyszłych przeobrażeń politycznych i społecznych. Nie tylko pisała o nas źle akowska prasa, nie szczędząc często epitetów i czczych wymysłów, lecz także sięgano do innych argumentów...

Pewnej listopadowej nocy w 1943 roku trzech uzbrojonych członków AK zjawiło się w domu mego ojca. Oświadczyli wprost, że szukają właśnie mnie. O czym mieliśmy rozmawiać, skoro w ich dłoniach połyskiwały pistolety? Podzieliłem się tą wiadomością z moimi chłopcami. Byli oburzeni, a jeden zapytał: „W takim razie z kim oni naprawdę walczą, przeciwko komu kierują broń?" Długo roztrząsaliśmy ten problem. Nic nie wskazywało na to, żeby kierownictwo AK chciało zmienić swój stosunek do sił lewicy.

Stanęło mi przed oczyma inne wydarzenie. Pod koniec marca tego roku, gdy hulała jeszcze śnieżyca, wybraliśmy się do Chlaniowa i Huty Trzebnickiej w celach organizacyjnych. W naszym oddziale znajdowali się nowo pozyskani członkowie AL: Walenty Salecki, Jan Związek, Jerzy Rysak, Stanisław Wolos i Stanisław Kamiński. Był też partyzant radziecki „Kola", który po ucieczce z obozu jenieckiego przez kilka tygodni leczył się u mego ojca i Leona Radeckiego. Przebrany w podniszczoną odzież wcale nie różnił się od nas. W Chlaniowie objął nad nami dowództwo „Cygan", dołączając kilku chłopców ze swego oddziału. Grupa liczyła więc blisko trzydzieści osób

w większości uzbrojonych. Ponieważ droga była daleka, postanowiliśmy wziąć podwody. Pierwszy postój wypadł nam we wsi Olszanka między Turobinem a Hutą Turobińską. Miejscowi gospodarze przyjęli nas po staropolsku, czym chata bogata. Wczesnym rankiem rozległy się bliskie strzały. To oddział AK „Sędzimira" zaatakował nasze posterunki. Niewiele brakowało, a doszłoby do bratobójczej walki. Na szczęście zdołaliśmy zachować zimną krew, co spowodowało przerwanie ognia. Ludzie „Sędzimira" poczuli się niepewnie. Kilku z nich — już po zażegnaniu incydentu — powiedziało nam, że we wsi miała być „banda rabunkowa", a oni sami „spieszyli mieszkańcom na ratunek". Nie brzmiało to wiarygodnie, cel tej „akcji" był na pewno inny. Powiedzieliśmy im, co sądzimy o takich „nieporozumieniach" i kto je inspiruje. „Sędzimir" zachowywał się butnie i odmaszerował, gdy z pomocą przybyli zaalarmowani ałowcy z Huty Turobińskiej. W paru słowach wytłumaczyłem im, kto sprowokował strzelaninę. Szkoda, że „Sędzimir" nie mógł usłyszeć tego, co powiedziano o jego „wyczynie"...

Przypominam sobie bardziej krzepiącą akcję. Już po tym incydencie, kiedy rozeszliśmy się w swoje strony, hitlerowcy urządzili łapankę na naszym terenie. Nikt dobrowolnie nie kwapił się na wyjazd do Rzeszy w charakterze robotnika, toteż okupant — nie po raz pierwszy zresztą — zastosował przymus. W gminach Żółkiewka, Zakrzew i Wysokie zgarnięto kilkadziesiąt osób. Na wieść o tym, że mają ich przewieźć do Krasnegostawu, wszystkie organizacje ogłosiły alarm

w swoich placówkach i oddziałach. Nikt oczywiście nie koordynował tej akcji, ale cel był jeden — uwolnić rodaków. Obstawiono szosę Turobin — Krasnystaw na wysokości majątku Białka. Wspólnymi siłami uderzono na konwój żandarmów, zmuszając ich do ucieczki. Uratowani ludzie dziękowali partyzantom ze łzami w oczach. Nie planowana akcja była dowodem, że hasła PPR nawołujące do solidarnej walki z okupantem są słuszne i mogą być realizowane. Mieliśmy przecież jednego wroga.

Myśl biegnie dalej. Uświadamiam sobie, że czas pracuje na naszą korzyść, nie stoimy w miejscu, rozszerzamy swoje wpływy. Zaczynaliśmy w dziesięciu, a teraz — wiosną 1944 roku — mamy już ponad stu uzbrojonych ludzi, związanych z partią i gotowych walczyć. Co najmniej drugie tyle to nasi sympatycy. Ale i ten rachunek jest zbyt uproszczony. Całe wsie są po naszej stronie, choć oczywiście nie każdy może porzucić gospodarkę i przejść do lasu.

*

Na dworze wstawał świt, wśród drzew pojawiły się pierwsze promienie słońca. Obudziło się ptactwo, rozpoczynając swój poranny koncert. Przez zwisające gałęzie rosnącego opodal świerku dostrzegłem poruszających się partyzantów. Podchodzili do dużej kałuży, aby umyć się w lodowatej wodzie. Poczułem się dziwnie zmęczony moimi wspomnieniami, toteż oderwałem się od nich, spoglądając na swoich chłopców.

Mignęła mi sylwetka Jerzego Krawczyka — „Skoczka". Maszerował raźnie, wykonując gimnastyczne ruchy zapewne z zimna. Przystojny, osiemnastoletni blondynek, moja prawa ręka. Energiczny, odważny, bardzo spostrzegawczy. Nauczył się wiele w partyzantce, powierzyłem mu sprawy zwiadu.

Tuż za nim Mieczysław Soboń — „Szerszeń". Wysoki, prosty jak świeca dwudziestolatek, trochę czupurny i uparty, ale lubiany przez wszystkich. Wykonywał też zadania zwiadowcze, rywalizując często ze „Skoczkiem". Świetnie orientował się w terenie, w nocy bezbłędnie trafiał do wskazanego punktu. „Ty masz kompas pod fryzurą" — mówili mu często koledzy.

Kilku przeszło w oddali i nie rozpoznałem ich, rzuciła mi się w oczy sylwetka Bolesława Nizioła — „Żurawia". Szatyn, średniego wzrostu, dosyć flegmatyczny. Poznawał dopiero blaski i cienie partyzanckiego życia.

Nikt mnie jeszcze nie zauważył. Wiedziałem, że zaraz po toalecie zaczną przygotowywać jakiś posiłek. Na samą myśl o nim poczułem ssanie w żołądku. Lepiej więc wrócić do przeszłości, skoro już tyle godzin spędziłem na dumaniu. Czasem nawiedza człowieka taka potrzeba.

Piąty rok... To prawda, ale jesteśmy już bliżej końca. Nie walczymy sami na tyłach frontu, są z nami partyzanci radzieccy, ich oddziały przemierzają już ziemię polską. Uderzają znienacka na wroga, niszczą jego linie komunikacyjne, rozbijają obozy jenieckie, uwalniając swych towarzyszy.

Przypominam sobie znamienne wydarzenie z po-

czątkowego okresu wojny. Hitlerowcy prowadzili liczną grupę jeńców radzieckich w stronę Zamościa. W Izbicy jeden z nich, bity i kopany przez żołdaka w czarnym mundurze, wykrzyknął: „Możesz mnie zabić, faszystowski morderco, ale Moskwy i tak nie zobaczysz!"

Ileż hartu i odwagi w tej wypowiedzi! Złamany fizycznie, wycieńczony, moralnie nie dał się ujarzmić. Chociaż życiem przypłacił swoje słowa, nie poddał się. Prawdziwy człowiek Kraju Rad, komunista dumny ze swej ojczyzny, wierzący w jej potęgę.

Świadkowie tego wydarzenia byli wstrząśnięci do głębi, ale zarazem pełni szczerego podziwu. Bohaterstwo zamordowanego żołnierza utożsamiano z postawą wszystkich żołnierzy Armii Czerwonej. Cóż z tego, że hitlerowcy trąbili na cały świat o swych doraźnych sukcesach, że pokazywali na wielkich mapach, dokąd wdarły się ich hordy. Cała ta propaganda zmieniła nagle ton, gdy pod Moskwą załamała się ich ofensywa i zebrali tęgie baty. Później, w latach następnych, coraz częściej docierały do nas wieści o kolejnych wielkich zwycięstwach Armii Czerwonej. Nabieraliśmy przekonania, że właśnie tam, na wschodnim froncie, Wehrmacht połamie sobie zęby i tak było naprawdę.

Nasze kontakty z towarzyszami radzieckimi zaczęły się już z początkiem 1942 roku. We wsiach Górecko i Pniaki ukrywali się jeńcy, przyjęci troskliwie przez tamtejszą ludność. Położenie tych wsi czy raczej osad w terenie pagórkowatym, poprzecinanym głębokimi parowami i zalesionym,

z dala od arterii komunikacyjnych i urzędów okupanta, sprzyjało zachowaniu warunków bezpieczeństwa. Mieszkający tam ludzie pochodzili z powiatu biłgorajskiego, nabyli te ziemie z ordynacji Zamoyskiego. Własnymi rękami karczowali pnie, przewracali darnie, aby uzyskać skrawki terenu pod pola uprawne. To byli twardzi ludzie, solidarni, znający gorycz nędzy. Zaopiekowali się jeńcami serdecznie, nie skąpiąc im niczego, na co było ich stać. Oni z kolei odwdzięczali się pomocą w pracach polowych i wyrębie lasów.

Spotykałem się z nimi wielokrotnie i po każdej rozmowie ogarniały mnie nieco szersze refleksje. Mówiliśmy nie tylko o wojnie i naszej przyszłej walce, lecz także o sobie, o sprawach zgoła przyziemnych, o naszym życiu w okresie pokoju. Byliśmy na ogół w jednym wieku, a jednak różnice rzucały się w oczy. Każdy z nich górował nad nami zasobem wiedzy wojskowej, kwalifikacjami w konkretnych specjalnościach, o których nie mieliśmy często pojęcia. Ot, przykład pierwszy z brzegu — kierowca ciężkiego czołgu albo dalmierzysta z artylerii przeciwlotniczej. Po prostu fachowcy, żołnierze z prawdziwego zdarzenia.

Zaprzyjaźniłem się zwłaszcza z lejtenantem „Kostią", który z tytułu swego stopnia i wiedzy przejął z czasem funkcję dowódcy grupy jeńców we wsiach Górecko i Pniaki, liczącej ponad trzydziestu ludzi. Z niej właśnie w 1943 roku powstał radziecki oddział partyzancki, jeden z wielu na ziemiach Lubelszczyzny. Razem z „Kostią" przeprowadziliśmy kilka akcji — wypadów na liegenschafty w celu zdobycia żywności — ale była to

tylko zaprawa przed późniejszą działalnością, kiedy już nie dokuczał nam tak mocno brak broni. Początkowo dzieliliśmy się uczciwie tym, co wpadło nam w ręce podczas żmudnych poszukiwań. „Kostia" i jego ludzie kręcili głowami, przyzwyczajeni do tego, że żołnierz dostawał wszystko, co przewidywała tabela należności w regularnym wojsku. Potrafili jednak przystosować się do przymusowych warunków i chociaż — jak sami przyznawali — nie uczono ich walki na tyłach wroga, w całkowitym oderwaniu od frontu, zaopatrzenia, z niedostatkiem podstawowej broni — inteligencja, wiedza i spryt brały górę. Mogłem tylko podziwiać tych ludzi i uczyć się od nich pokonywania różnych trudności. Nie widziałem ich nigdy załamanych, nawet w chwilach dramatycznych, kiedy deptały nam po piętach hitlerowskie oddziały pościgowe. Imponowali zawsze swym hartem, odwagą i jakąś charakterystyczną pogodą, uśmiechem i chwytającą za serce tęsknotą, którą tak pięknie wyrażały słowa ich melodyjnych piosenek. Gdy nikt nam nie zagrażał, potrafili na biwaku godzinami cicho śpiewać na głosy, a repertuar mieli bogaty, sam już nie wiem, czy rzeczywiście wyuczony, czy improwizowany. Ale słuchać chciało się bez końca.

„Kostia" pod koniec 1943 roku znikał gdzieś w terenie i wracał na czele swego oddziału, który stopniowo zmieniał skład. Pojawiły się nowe twarze, nowe pseudonimy. Razem biwakowaliśmy w lesie bądź u zaufanych chłopów, gdy siarczysty mróz nie pozwalał przebywać w naszych ziemiankach. Najgorsze były noce, jasne, gwiaździste, ale

tak zimne, że tamowało oddech na wolnym powietrzu.

W połowie stycznia 1944 roku „Kostia" ponownie opuścił bazę i straciłem nadzieję, że kiedykolwiek spotkamy się jeszcze. Jakież było moje zdziwienie i radość, gdy pod koniec lutego przybył w nasze strony, prowadząc liczny i dobrze uzbrojony oddział. Oczom nie wierzyłem. Skąd oni to wytrzasnęli? Nowiutkie pistolety maszynowe, słynne „pepeszki", dwa ręczne karabiny maszynowe z okrągłymi magazynkami, masa amunicji, granaty, lont, kostki trotylu... Słowem, wszystko, o czym od dawna marzyliśmy. „No i jak, podoba się?" — pytał „Kostia", uśmiechając się tajemniczo. Mowa! Toż to arsenał, regularne wojsko. Daleko nam do nich. Broń pochodziła „z nieba" — jak nam powiedział — czyli ze zrzutów. Okazało się, że podczas wypadów w teren „Kostia" dotarł do innych oddziałów radzieckich, operujących na Lubelszczyźnie, a te z kolei miały już łączność z „Wielką Ziemią". Stamtąd właśnie otrzymali broń, wyprodukowaną gdzieś za Uralem, prostą i niezawodną, taką samą, jaką żołnierze Armii Radzieckiej gromili wroga na froncie. „Kostia" rozumiał nasze położenie, potrafił się po męsku odwdzięczyć za to, co dla niego zrobiliśmy. Podzielił się swym bogactwem, dając przy tym do zrozumienia, że długi marsz do naszej bazy wyczerpał jego chłopaków, a po drodze z żywnością było skąpo. Nie trzeba było nam tego dwa razy powtarzać. Jeszcze późnym wieczorem, gdy nasi towarzysze odpoczywali, zorganizowałem wypad do liegenschaftu w Dworzyskach. Na widok jednej

sztuki opasowej i dwóch okazałych wieprzaków wszystkim pojaśniały twarze. Gospodarz, u którego urządziliśmy nocleg, sam zajął się przygotowaniem spóźnionej wieczerzy. Poćwiartowany wieprzak poszedł w całości do kotła i chociaż nie dogotowane mięso parzyło usta, każdy zajął się z apetytem swoją porcją, chwaląc znakomitą ucztę. „Kostia" przy okazji wspominał dawne czasy, dorzucając raz po raz, że teraz dopiero pokażemy hitlerowcom, co to znaczy walka na zapleczu frontu.

Niedługo przyszło nam czekać na spełnienie tych słów. Stanęły mi przed oczyma wspólnie przeprowadzane akcje, zwłaszcza na liniach kolejowych. Już zacząłem sobie przypominać tę pierwszą, ale chłopcy nie pozwolili mi siedzieć samotnie z dala od nich.

— Komendancie — usłyszałem nagle głos „Szerszenia" — prosimy na śniadanie!

Ocknąłem się na dobre. Dosyć rozmyślań, pora wrócić do rzeczywistości. Zaczynał się przecież kolejny dzień w lesie. Umyłem się w zimnej wodzie i przyłączyłem do kręgu partyzantów, siedzących wokół ogniska. Nasz kwatermistrz, Kazimierz Bartnik, podał mi kubek gorącej kawy z sacharyną i pajdę wiejskiego chleba. Niczego więcej tego dnia nie mieliśmy. Z wyżywieniem, jak zwykle, było różnie. Często głodowaliśmy, choć zdarzały się okresy znacznie lepsze — po wypadach aprowizacyjnych — kiedy nie brakowało nam konserw, tłuszczu, cukru, soli i świeżego mięsa z uboju. W chleb zaopatrywali nas miejscowi gospodarze. Aby uniknąć kłopotów żywnościowych, zapo-

biegliwy Bartnik zorganizował skromny zapas złożony z kaszy jęczmiennej i ziemniaków. Była to tak zwana „żelazna racja", przechowywana u kilku chłopów.

Po śniadaniu przystąpiliśmy do swoich normalnych — jak co dzień — zajęć. Odprawiłem najpierw „Skoczka", aby przeprowadził zwiad w rejonie bazy. Wracał on zwykle w godzinach popołudniowych lub wieczorem, przynosząc najświeższe informacje uzyskane od naszych ludzi w okolicznych wsiach. Zwiad był naszym okiem i uchem, wiedzieliśmy, że bez niego oddział nie mógłby istnieć. Wróg nie spał, stale penetrował teren, urządzał zasadzki, blokował przejścia, kontrolował ruch ludności. Wiadomości, które do nas docierały każdego dnia, decydowały często o tym, co będziemy robić. Jeśli w rejonie biwakowania panował względny spokój, przedłużaliśmy postój, ale najwyżej do trzech lub czterech dni. Spokój to jeszcze nic pewnego, mógł przecież oznaczać ciszę przed burzą. Hitlerowcy nie poruszali się tylko pieszo, mieli pod dostatkiem samochodów i motocykli. Szybki przerzut licznych oddziałów z odległych nawet garnizonów nie stanowił dla nich żadnego problemu. Licząc się stale z taką ewentualnością, kluczyliśmy w terenie, aby utrudnić zlokalizowanie miejsca postoju i wymknąć się z pułapki. Zazwyczaj nocą przechodziliśmy do Huty Turobińskiej, Batorza czy Chłaniowa, a gdy zwiad sygnalizował poważniejsze ruchy nieprzyjaciela, odrywaliśmy się od naszych baz na odległość nawet kilkudziesięciu kilometrów, aby tam, w ukryciu, przeczekać najgorszy okres.

Nasz oddział miał zmienny skład. Ponad połowa to ludzie z placówek, którzy przyłączali się dla wykonania akcji, a więc na krótko. W razie potrzeby mogliśmy postawić w stan alarmu blisko pięćdziesięciu alowców, ściągając ich na miejsce zbiórki bądź wyznaczając im różne zadania w rejonach przemarszu — zorganizowanie pomocy sanitarnej, żywności, podwód lub ruchomych patroli. Pozostali partyzanci to ludzie „spaleni", zmuszeni do ciągłego ukrywania się z dala od rodzinnych gniazd. Las był dla nich domem. Rozumiałem ich dobrze, bo sam też znajdowałem się w takim położeniu. Od czasu rewizji w naszym domu musiałem zapomnieć o swoim nazwisku. Posługiwałem się pseudonimem „Pilot", towarzysze z dowództwa okręgu zaopatrzyli mnie w „lewą" kennkartę na nazwisko Michał Dubaj oraz zaświadczenie w języku niemieckim, wydane rzekomo przez nadleśnictwo Łopiennik, stwierdzające, że jako robotnik leśny wykonuję prace potrzebne dla Rzeszy. Dzięki tym dokumentom mogłem łatwiej poruszać się w terenie, co wcale nie oznaczało, że nic już mi nie grozi. Stale miałem się na baczności, ale i tak w czerwcu ubiegłego roku omal nie wpadłem. Wybrałem się z kilkoma znajomymi do lasu po opał i tam zatrzymał nas patrol żandarmerii, odstawiając bez pytania do więzienia w Krasnymstawie. Tylko dzięki wspomnianemu zaświadczeniu udało mi się jakoś przekonać Niemców, że „naprawdę" wykonywaliśmy zlecone prace. Nie znaleźli przy nas, na szczęście, nic podejrzanego, a siekiery i piły potwierdzały moje słowa. Posypały się groźby, ktoś nawet oberwał

kilka razy w twarz, lecz w końcu, ku zdumieniu wszystkich, kazali nam się wynosić. Argument, że „pracujemy dla gospodarki wojennej Rzeszy", trafił im do przekonania. Wypadek rzadki, wyjątkowy, toteż nie chciałem po raz drugi kusić losu i unikałem takich spotkań. Nie wiem, czy wytrzymałbym nerwowo na kolejnym przesłuchaniu jako Michał Dubaj...

Po odprawieniu „Skoczka", gdy chłopcy przystąpili do czyszczenia broni bardzo wrażliwej na rdzę w okresie wiosennej wilgoci, przeprowadziłem dłuższą rozmowę ze Stanisławem Wożakowskim — „Żelaznym", który był komendantem placówki i także zajmował się zwiadem. Zastanawialiśmy się wspólnie nad wyborem drogi przemarszu do innej bazy. „Żelazny" proponował jeszcze jeden dzień postoju, ja z kolei chciałem przerzucić oddział już po zapadnięciu mroku. Stanęło na tym, że rozstrzygniemy sprawę po powrocie „Skoczka".

Mijał powoli partyzancki dzień. Wydawało się, że nic się nie dzieje, ale to były tylko pozory. Ciszę mogły w każdej chwili przerwać wystrzały. Trwaliśmy jak zwykle w czujnym pogotowiu. Ile to już takich dni upłynęło, ile nas jeszcze czeka...

UWAGA, ZBLIŻA SIĘ

Muszę zacząć od „Saszy", radzieckiego partyzanta, który przybył do naszej bazy w Ostrzycy Dworze pod koniec marca 1944 roku. Znał drogę i hasło, wiedziałem ponadto, że skierował go komendant 5 okręgu AL Tadeusz Szymański — „Lis", toteż przyjęliśmy gościa z otwartymi rękami. W takich sytuacjach byliśmy zazwyczaj ostrożni i nieufni, ponieważ hitlerowcy nie stronili od prowokacji. Zdarzało się, że pod maską rzekomego partyzanta czy nawet skoczka spadochronowego krył się agent gestapo lub policji, celowo wysłany do lasu. Stosując takie metody, wróg usiłował wytropić położenie naszych baz, rozpoznać skład i uzbrojenie oddziałów.

„Sasza" nie miał z tym nic wspólnego, był poza podejrzeniami. Barczysty, średniego wzrostu, w wieku około dwudziestu siedmiu lat, na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie nieśmiałego. Wyróżniał się bujną czupryną koloru miedzi i nie protestował, gdy nasi chłopcy zaczęli go nazywać „Rudy". Znał nieźle język polski, bo od dwóch lat — po ucieczce z obozu jenieckiego — ukrywał się u naszych gospodarzy z różnych wsi, aż wreszcie nawiązał kontakt z partyzantką. Jego specjalnością było minerstwo. Przybył uzbrojony w „pepeszę" i — co nas najbardziej ucieszyło — przyniósł kilkadziesiąt kostek trotylu oraz oryginalne zapalniki uderzeniowe i zawleczkowe. Oddział wzbogacił się więc o jednego fachowca i materiał wybuchowy, którego wówczas nie mieliśmy za wiele.

Walka o szyny, zainicjowana przez Gwardię Ludową, w przedostatnim roku wojny wkraczała w nową fazę. Front zbliżał się już do polskich ziem. Hitlerowcy zwiększyli częstotliwość transportów kolejowych, przerzucając na wschód świeże posiłki, sprzęt, amunicję i paliwo. Każda przerwa w ruchu pociągów odbijała się na rytmiczności

dostaw, to znaczy — mówiąc konkretnie — osłabiała wroga na froncie. Uderzając w transport kolejowy, oddziały Armii Ludowej spełniały ważną rolę, przyspieszając zwycięski marsz żołnierza radzieckiego do Polski. Marsz to oczywiście przenośnia, bo wróg nie cofał się dobrowolnie. Ustępował pod naciskiem, w ciężkich walkach, które pochłaniały wiele ofiar.

Przed przybyciem „Saszy" do oddziału przeprowadziliśmy dwie akcje kolejowe, udane, choć Niemcy dosyć szybko usunęli skutki eksplozji i naprawili tory. Takich akcji na obszarze Lubelszczyzny było znacznie więcej. Dla spotęgowania skutków naszej działalności dokonano podziału odcinków połączeń kolejowych, którymi mieli „zaopiekować się" partyzanci. Nam przypadła linia Rejowiec — Bełżec z wszystkimi urządzeniami i mostami.

„Sasza" okazał się roztropnym i bystrym chłopakiem. W kilka dni po przybyciu, gdy już czuł się w oddziale zupełnie dobrze, chwaląc sobie zwłaszcza koleżeńską atmosferę, zwrócił się do mnie z pytaniem:

— No to kiedy wywalamy?

Uśmiechnąłem się. Nie rzucał słów na wiatr. Wiedział, po co skierowano go do nas i zaczynał się niecierpliwić.

— Poczekaj — uspokoiłem go. — Najpierw zwiad, a później robota na torach. Nie mam jeszcze wszystkich informacji...

Rozpoznanie ruchu pociągów nastręczało nam wiele trudności. Hitlerowcy nie byli naiwni. Lubelszczyzna w ich nomenklaturze zasłużyła sobie

na miano „obszaru zagrożonego działalnością band". Skoro więc tędy przebiegały ważne arterie komunikacyjne, robili wszystko, by uchronić swój transport przed naszymi akcjami. Względnie regularnie jeździły tylko pociągi osobowe, ale te nas nie interesowały. Pociągi z wojskiem i sprzętem nie miały żadnego rozkładu. Przejazdy obserwowano w różnych porach doby, najczęściej o zmierzchu lub nocą. Czasem szło od razu kilka transportów i następowała dłuższa przerwa, czasem między jednym a drugim pociągiem przez parę godzin nic nie pojawiało się na torach.

Ruch na „naszej" linii obserwował między innymi młody chłopiec z Izbicy, Wojciech Sulewski, syn zamordowanego doktora, o którym już wspominałem. Mieszkał obok stacji kolejowej i dzięki temu mógł łatwiej uzyskać interesujące nas wiadomości. Pomagała nam również Cecylia Kołodziejczyk — „Marta", która miała znajomych wśród kolejarzy, a ponadto nieźle posługiwała się językiem niemieckim, co też nie było bez znaczenia.

Po kilku dniach, kiedy już uzyskałem niezbędne informacje, oznajmiłem swoim chłopcom, że przystępujemy do kolejnej akcji. „Sasza" zajął się przygotowaniem trotylu i zapalników, przechowywanych u komendanta placówki AL w Ostrzycy Dworze. Reszta czyściła broń i sortowała amunicję. Wszyscy byli skupieni, nie słyszałem żartów i śmiechu. Akcja to zadanie bojowe, każdy zdawał sobie z tego sprawę. Nie dopuszczaliśmy do siebie złych myśli, ale... pocisk nie wybiera. Któż mógł wiedzieć, jak zareaguje wróg po wysadzeniu po-

ciągu, czy nie przystąpi od razu do pościgu, czy nie osaczy nas?

Wczesnym rankiem, na godzinę przed wymarszem, rozszalała się śnieżyca, spadła temperatura. Okoliczne pola i lasy już nabierające wiosennej barwy utonęły nieoczekiwanie w bieli. Z niskich chmur waliły tumany płatków jak w samym środku zimy.

Żeby zaoszczędzić siły, wzięliśmy podwody — pięć wozów z jednokonnym zaprzęgiem. Droga z Ostrzycy Dworu do kolonii Tarnogóra była dosyć daleka. Sypiący bez przerwy śnieg nie tylko utrudniał widoczność, ale topił się szybko i zamieniał polny trakt w grząskie błoto. Konie ciągnęły coraz wolniej, na szprychach kół utworzyła się lepka maź. Na którymś tam kilometrze jeden z wozów stanął, żal było patrzeć na zmordowanego czworonoga. Rad nierad poleciłem zatrzymać pozostałe wozy. Chłopcy niechętnie zeskakiwali, rozpryskując mokrą glinę spod nóg.

— „Skoczek" na czoło! — krzyknąłem, żeby mnie usłyszał w podmuchach wiatru hulającego na otwartej przestrzeni. — Reszta za mną!

Podwody zawróciły. Potwornie dłużył się nam ten marsz. Ciążyła broń i amunicja, dokuczał głód. Dwukrotny postój w szczerym polu nie przyniósł żadnej ulgi, wstawaliśmy ze śniegu jeszcze bardziej zmęczeni. Minęło południe, zbliżał się wieczór, a my ciągle brnęliśmy do wytkniętego celu. Mimo tych ciężkich warunków, mimo zimna i wilgoci, która przenikała na wskroś, nie padło ani jedno słowo skargi. W ogóle o niczym nie mówiliśmy, myśląc o jakimś kącie w izbie lub stodole

i misce gorącej strawy. Nikogo nie spotykaliśmy po drodze. Towarzyszyły nam tylko szare chmury, wirujący śnieg i kontury lasów na horyzoncie. W taką pogodę nawet pies nie opuszczał swojej budy.

Około północy osiągnęliśmy skraj Tarnogóry. Wieś już spała, nigdzie śladu człowieka. Wysłany na zwiad „Skoczek" pocieszył nas. Spokój, cisza, Niemców nie ma. Ruszyliśmy raźniej, kierując się do zabudowań Stanisława Korniaka, gospodarza dobrze nam znanego. Nie należał on do żadnej organizacji, ale pomagał partyzantom i potrafił milczeć. Jego zagroda, położona z dala od innych domów, w pobliżu lasu mchowskiego i ostrzyckiego, z trudnym dojazdem w razie roztopów, nadawała się na partyzancką kwaterę.

Korniaka obudził pies wściekle ujadający na nasz widok. Wyjrzał przez okno i po chwili otworzył drzwi.

— O, kogo ja widzę — powiedział, zapraszając mnie ruchem ręki do wnętrza. — Wchodźcie, coś się znajdzie na rozgrzewkę... — chciał jeszcze coś dodać, ale zabrakło mu słów, gdy za moimi plecami dostrzegł gromadę chłopców. Takiego kompletu w środku nocy na pewno nie oczekiwał.

— Posiedzimy tylko do rana — zapewniłem go. — Parę godzin...

— A czy ja pytam, do kiedy chcecie siedzieć? — przerwał mi. — Miejsce jest zawsze było. No, wchodźcie, bo śniegu do izby nawieje. Coś kiepsko dzisiaj wyglądacie. Kawał drogi ma się w nogach, co?

Skinąłem głową. Bystry chłop z tego Korniaka.

Spojrzał i już wiedział. Z naszych twarzy i przemoczonych kurtek wiele mógł wyczytać.

— Jeść chcecie?

— Nie, spać! — odpowiedzieli jak jeden partyzanci, słaniając się na nogach. Potrzeba snu okazała się silniejsza od głodu, chociaż każdy go odczuwał po tylu kilometrach marszu.

W mig urządzono posłanie. Na podłogę poszły wiązki słomy, mokre buty powędrowały pod piec. Po kilku minutach okna drżały od chrapania. Czuwał tylko wartownik na podwórzu, Stanisław Hulak — „Łoboda". Ratowałem się przed snem rozmową z Korniakiem, ale w końcu i mnie złamało. Zdrzemnąłem się na krześle. Nie wiem, jak długo to trwało, ale obudził mnie okrzyk „stój, kto idzie?" i od razu zerwałem się na równe nogi. Wartę pełnił już Stefan Jasiński, który zmienił Hulaka. Z „pepeszą" w rękach wybiegłem na dwór. Nigdy przecież nie wiadomo, kogo diabli noszą o tak wczesnej porze. Zbliżał się dopiero świt. Więc wybiegłem i omal nie zderzyłem się z „Boleszczycem", bo on właśnie zmierzał śmiało do izby.

— Ty tutaj? — zdziwiłem się. — A ja myślałem...

— Dobrze myślałeś — odparł, podając mi dłoń. — Czujność to nasza broń. Wartownika trzeba pochwalić za wzorowe pełnienie służby. Huknął mi tak nad uchem, że stanąłem jak wryty. Gdyby to był ktoś obcy... No, na szczęście są sami swoi. Kiedy zaczynacie?

Okazało się, że „Boleszczyc" już wiedział o przygotowywanej akcji. Miał dobry wywiad

w tutejszym terenie. Znał przebieg naszego marszu i po „odwrocie" wozów spodziewał się, że odwiedzimy Korniaka.

— I nie pomyliłem się — powiedział, spoglądając na śpiących chłopców. — To dobra i pewna kwatera. Mieliście ładny spacer, prawda? — uśmiechnął się ze współczuciem.

— A niech cię kule biją, chłopie, za taki spacer — odpaliłem tonem dezaprobaty. — Wiosna, psiakrew, a tu sypie jak w grudniu. Nóg nie czułem, gdy Korniak przygarnął nas na nocleg. Zobacz, jak wyglądają nasze buty...

„Boleszczyc" nic nie odpowiedział. Sam przecież także przemaszerował kilka kilometrów, żeby się z nami spotkać. Nieraz zresztą widywaliśmy go na naszych biwakach i kwaterach. Nigdy nie mówił o swoim zmęczeniu, interesowały go natomiast nastroje wśród naszych ludzi. Imponował mi ten człowiek, nie tylko jako dowódca, któremu podlegałem wraz ze swym oddziałem, lecz jako towarzysz wspólnej doli i walki, serdeczny, przyjacielski, pełen wiary w przyszłość. Był starszy ode mnie o jakieś dziesięć lat, przed wojną należał do KPP, od niego uczyłem się zasad konspiracji jako członek KZMP. Wysoki, szczupły, energiczny wzbudzał respekt wśród chłopców. Tacy jak on potrafili wiele zdziałać, przełamać nieufność, zachęcić do wytrwania, przekonać, że kroczymy słuszną drogą.

— Masz minera w oddziale — zmienił temat.

— Nareszcie — potwierdziłem. — Doświadczony chłopak, zna się na swojej robocie. Trochę niecierpliwy, ale wiesz, jak to jest.

W tym momencie „Sasza" usiadł na słomie, a widząc „Boleszczyca", wstał, poprawił bluzę i przedstawił się.

— Dlaczego „Rudy"? — powtórzył za nim „Boleszczyc", nie dostrzegając w półmroku koloru jego włosów. — Pierwszy raz słyszę.

— Tak oni zadecydowali — wyjaśnił, wskazując ręką na śpiących kolegów. — Mnie tam wszystko jedno, może być „Rudy". Byle tylko walić faszystowską swołocz. Kosteczkę pod tory i łomot. Doczekać się nie mogę, kiedy pierwszy poleci...

Rozgadali się na dobre. „Sasza" chwalił pobyt w naszym oddziale, ale najbardziej interesowała go sytuacja na froncie. Tam przecież rozstrzygały się losy wojny. Działania partyzanckie miały niebagatelne znaczenie, lecz pokonać i przepędzić wroga mogła tylko Armia Radziecka. Dlatego z taką uwagą słuchaliśmy zawsze informacji o tym, co dzieje się na froncie. Docierały one do nas najczęściej z dużym opóźnieniem, bo oddział nie dysponował odbiornikiem radiowym. Konspiracyjna prasa drukowała je z nasłuchu, a więc na bieżąco, ale niewielka to była pociecha, skoro dostawałem biuletyn sprzed tygodnia lub dwóch tygodni. Wiosną 1944 roku front nie stał w miejscu, każdy dzień przynosił coś nowego, a my o tym nie wiedzieliśmy. Trzeba było ze strzępów różnych informacji — a nawet plotek powtarzanych w dobrej wierze z ust do ust — wyłowić prawdę. I ona nas pokrzepiała jak nigdy od początku wojny. Wróg rzeczywiście był w odwrocie, musiał uznać wyższość Armii Radzieckiej.

Około siódmej zarządziłem pobudkę. Chłopcy wypoczęli i resztki snu spędzili z powiek pod studnią. Nie padał już śnieg, chwycił natomiast przymrozek. Jak okiem sięgnąć, krajobraz nabrał zimowych barw. Wiosenna aura nie była dla nas łaskawa. Jeszcze kilka dni temu przygrzewało mocno słońce i już zamierzaliśmy przenieść się na dłużej do lasu, lecz wystarczyła jedna doba, żeby ten plan wziął w łeb. Znowu trzeba będzie kwaterować u gospodarzy, co zawsze łączyło się z większym ryzykiem. Nie chodziło o nas, lecz głównie o nich. Za udzielanie jakiejkolwiek pomocy partyzantom padały wyroki śmierci. Hitlerowcy rozstrzeliwali całe rodziny, mało tego — szły z dymem wsie i przed uratowanymi otwierał się los tułacza.

Korniak nie zdradzał jednak niepokoju. Ugościł nas śniadaniem — czarną kawą, chlebem i wędzonym boczkiem, po maleńkim kawałku, lecz sprawiedliwie na każdego — i pozwolił przeczekać do wieczora. W dzień nie mogliśmy się poruszać w większej grupie.

Wykorzystując sprzyjającą okazję „Boleszczyc" zapoznał zebranych z ostatnimi wiadomościami z nasłuchu radiowego. Znał sytuację sprzed dwóch dni, to znaczy najświeższą. Chociaż słuchałem go już raz, gdy o tym samym rozmawiał z „Saszą", starałem się nie uronić ani jednego słowa. Chłopcy siedzieli jak urzeczeni, poczuli się pewniej przed czekającą ich akcją. Słuchał również Korniak, kiwając w zamyśleniu głową.

— Same dobre wieści — dorzucił od siebie. — Jak tak dalej pójdzie, za kilka miesięcy szwaba nie ujrzysz ze świecą...

— Chyba w obozie jenieckim — dodał „Boleszczyc".

Gospodarz znał się na rzeczy. Gdy już omówiliśmy „wielką strategię" — jak to określił „Sasza" — zostawił nas samych, żeby nie przeszkadzać i nie krępować swoją obecnością. Domyślał się, po co przybyliśmy do niego z bronią, a skoro szykowała się jakaś akcja, wolał za wiele nie wiedzieć. Tak postępowali i inni gospodarze, u których kwaterowaliśmy. Trudno się dziwić, konspiracja ma swoje prawa.

Przedstawiłem „Boleszczycowi" plan wysadzenia pociągu. Miałem już dane, że będzie to duży skład kierowany na wschód. Z przeprowadzonych obliczeń wynikało, iż około godziny 22.30 — z tolerancją najwyżej kilku minut spóźnienia lub przyspieszenia — znajdzie się dokładnie na nasypie biegnącym łukiem w pobliżu wsi Tuligłowy. Tam postanowiliśmy przerwać jego bieg. Ładunek wybuchowy powinien zrzucić parowóz z toru, wraz z nim — jak przypuszczałem — stoczy się w dół co najmniej kilka wagonów ze sprzętem wojskowym.

„Boleszczyc" zgodził się ze mną, do planu nie miał zastrzeżeń. Już dwa razy uczestniczyłem w takich akcjach i widziałem, jaką siłę ma trotyl. „Sasza" potwierdził zresztą moją opinię jako fachowiec. Pozostawało tylko zaczekać do zmierzchu, dojść do wyznaczonego rejonu, zorganizować na miejscu ubezpieczenie i władować nasz „prezent" pod szyny.

Jako pierwszy, w południe, wyruszył „Szerszeń". Znał już w szczegółach nasz plan, toteż przed wymarszem ograniczyłem się do kilku ostatnich wskazówek.

— Na trasie unikaj ludzi — przypomniałem. — Zajmij ukryte stanowisko w odległości kilometra od toru i obserwuj ruch w rejonie akcji. Na miejscu będziemy godzinę przed minowaniem. Patrz dobrze, bo od ciebie wiele zależy. Zrozumiałeś?

— Możecie na mnie polegać — zapewnił.

Znowu zaczął sypać gęsty śnieg. Wierzyć się nie chciało, że to już wiosna. Zapytałem „Boleszczyca", co o tym sądzi. Wzruszył ramionami, bo o czym tu mówić. Śnieg zaciera ślady, a więc dla nas lepiej, ale jeśli spadnie temperatura, ślady pozostaną. I tak źle, i tak niedobrze. Co gorsza, na białym tle będziemy z daleka widoczni, zwłaszcza przy wchodzeniu na nasyp. Zacząłem się denerwować, „Sasza" milczał. Ktoś podsunął myśl: może wziąć podwody? Przy takich zaspach pieszo nie zdążymy. Racja, ale nie podwody tylko sanie. Trzech zgłosiło się na ochotnika: niezmordowany „Skoczek", Andrzej Dubaj — „Cebula" i Jan Butkowski — „Burak". Czekaliśmy na nich blisko godzinę, lecz dotrzymali słowa. Wrócili z saniami. Na pierwszych jechał młody chłopak, a jego koń dzwonił, aż echo szło. Podskoczyło do niego od razu kilku partyzantów.

— Ty co, na wesele czy na jarmark? — zapytali, tłumiąc złość.

— Jakie tam wesele — odpowiedział wyrostek, nie pojmując, czego od niego chcą. — Ludzi mam podrzucić.

— No to won z tym dzwonkiem! Na kilometr ciebie słychać!

Ulokowaliśmy się dosyć wygodnie i kawalkada ruszyła. Konie parskały, spod kopyt leciały na nas grudy ubitego śniegu. Stukały raz po raz orczyki, zakłócając nocną ciszę. W kłębowisku płatków sięgaliśmy wzrokiem na kilkaset metrów. Gdyby tak od czoła lub z tyłu pojawili się Niemcy, moglibyśmy ich zobaczyć za późno, a wtedy... Wolałem o tym nie myśleć. Ściskałem tylko „pepeszę", zerkając na milczącego „Boleszczyca", który postanowił wziąć udział w naszej akcji. Mimo grubej rękawicy wyczuwałem pod palcami zimny metal. Przypomniały mi się lata dzieciństwa. Ktoś wówczas dla kawału mówił, że wystarczy przytknąć język do zmarzniętej klamki, żeby zobaczyć Warszawę. Paru ciekawskich przypłaciło tę próbę bólem i łzami. Na kilka dni musieli się pożegnać z gorącą zupą i mlekiem, bo rana goiła się powoli.

Ponieważ konie buchały już parą, a na ich grzywach i nozdrzach osiadał szron, zatroskany woźnica trącił mnie łokciem.

— Daleko jeszcze?

— Kawałek — odpowiedział za mnie „Boleszczyc". — O, tam, sześć kilometrów stąd leży Krasnystaw, a z lewej widać już wieś. Tam się zatrzymamy i konie odpoczną.

Przestało padać i kontury wsi Tuligłowy ciemnymi punktami wyrastały na białym tle. Uspokojony chłop strzelił batem. Pomknęliśmy szybciej, czując na twarzach lodowaty powiew. Spojrzałem na zegarek: dochodziła dwudziesta pierwsza. Nieźle, powinniśmy zdążyć na czas. Wieś powitała nas ciszą. To dobry znak, ale licho nie śpi. Kazałem zatrzymać sanie wśród ośnieżonych drzew

w pobliżu domu Michała Dziewulskiego, znanego mi sprzed wojny członka KPP, więźnia sanacji. Podeszły wiek i nadszarpnięte zdrowie nie pozwalały mu brać czynnego udziału w robocie konspiracyjnej, ale chętnie służył nam różnymi informacjami i odstępował w razie potrzeby kwaterę. Nie zdziwił się, gdy nas znowu zobaczył.

Trzech partyzantów, Stanisława Kasprzaka — „Gołębia", Józefa Bidę — „Rozkosza" i „Cebulę" wyznaczyłem do ochrony taboru. „Skoczka" i mojego brata Romana Błażejczyka — „Lecha", wysłałem do nawiązania kontaktu z „Szerszeniem", który rozpoznawał sytuację na torach. Znali się osobiście, więc ustalanie hasła było zbyteczne. Reszta czekała, korzystając na zmianę z izby Dziewulskiego, aby się nieco ogrzać. Jak zwykle w takich chwilach zaczął mi się dłużyć czas. Niecierpliwił się także „Sasza".

„Skoczek" z „Lechem" wrócili szybciej, niż przypuszczałem.

— Droga bezpieczna — usłyszałem. — „Szerszeń" nic szczególnego nie zauważył, ale ledwo żyje z zimna. Tyle godzin na śniegu...

Jeszcze raz spojrzałem na swoich chłopców, którzy otoczyli mnie półkręgiem. Sprawdziłem broń, uprzedziłem o potrzebie zachowania ciszy.

— Idziemy! — rzuciłem krótko. — Zachować odstępy!

Gęsiego, omijając z daleka wiejskie zabudowania i szukając osłony wśród drzew, rzadko tam rosnących, skierowaliśmy się do rzeki. Wieprz był rwący i głęboki po opadach śniegu. Ciemną, szklistą strugą przecinał pola. Żadnego mostu

w pobliżu nie było. Przeprawiliśmy się pojedynczo po pniu zwalonej wierzby, łączącej dwa brzegi. Dosyć długo to trwało, bo drzewo było śliskie, pokryte lodem, a metr pod nim szumiała woda. Wystarczył moment nieuwagi, żeby człowiek chlusnął w głębię. Brrr, to żadna przyjemność w mroźną noc.

Jeszcze blisko kilometr marszu w zimowym plenerze. Niziny i łąki ciągnące się od Ujazdowa, Tarnogóry i Krasnegostawu tworzyły ogromną, białą płaszczyznę. Wyglądamy jak mrówki na prześcieradle — przemknęła mi przez głowę niedorzeczna myśl.

Już widać nasyp. Szukam wzrokiem „Szerszenia", który gdzieś tu czuwa. Wzrok błądzi po krzewach i kępach drzew. Na pewno siedzi w takiej kryjówce i obserwuje nasze ruchy.

Jest! Wyrasta jak spod ziemi, wymachując rękami. Co to znaczy? Stało się coś nieprzewidzianego? Przyspieszam, a obok mnie jak cień podąża „Sasza". Obydwaj dobiegamy do „Szerszenia".

— Rąk ani nóg nie czuję z zimna — mówi, dzwoniąc zębami. — A tutaj spokój, nikogo nie widać od godziny. Przejeżdżały tylko dwa samochody z wygaszonymi światłami z Izbicy do Krasnegostawu i z powrotem.

— Wojsko? Żandarmeria? — pytam dla zasady, bo przecież w mroku nie mógł tego ustalić.

— Czort wie — mruczy głucho zmarznięty „Szerszeń". — Dwie ciężarówki z plandekami. Gołym okiem nie dojrzysz, kto to był. Szwaby, co za różnica — dodaje.

Też racja. Dziękuję „Szerszeniowi" za robotę

i odsyłam go do wsi, żeby zjadł coś gorącego i wypoczął. Jego rola już się skończyła, wykonał trudne zadanie. Kolej na nas.

Rozsyłam grupy ubezpieczeniowe, żeby spokojniej — jeśli w ogóle można mówić o spokoju w takiej akcji! — pracować na torze. W kierunku Izbicy idą Bolesław Nizioł — „Żuraw", jego brat Władysław i „Lech". Drugi kierunek, na Krasnystaw, ubezpiecza Stanisław Mikulski — „Jaskółka", Jan Panfiłowicz — „Krater" i „Żelazny". Obydwie grupy mają obserwować tory na nasypie i biegnącą równolegle do nich arterię drogową Lublin — Lwów. Jest to więc ubezpieczenie dwustronne, zewnętrzne, zamykające podejście do miejsca, gdzie zamierzaliśmy podłożyć trotyl. Przypominam o sygnale ostrzegawczym — w razie zagrożenia trzy pojedyncze strzały z pistoletu i natychmiastowy odskok z punktem zbiórki przy taborze. Pozostawało pytanie, kiedy rzeczywiście mogło dojść do zagrożenia? Czy strzelać na widok przejeżdżającego samochodu, czy siedzieć w ukryciu, nie zdradzając swej obecności. O tym mieli decydować sami partyzanci na ubezpieczeniu. Wiedzieliśmy z doświadczenia, że Niemcy czynią wiele hałasu, gdy wyruszają na swoje akcje. Jadą na motocyklach, samochodach terenowych, nawet transporterach opancerzonych, palą reflektory, oświetlają pola rakietami, tłuką seriami z broni maszynowej po prostu po to, żeby dodać sobie otuchy i wywołać popłoch wśród ludności, sparaliżować ją. Takiej obławy raczej nie oczekiwaliśmy. Skąd mogliby wiedzieć, że właśnie tu, w pobliżu wsi Tuligłowy, i o tej porze pojawili się party-

zanci? Ich wywiad nie działał aż tak sprawnie, uderzali często w próżnię, po akcji. Nikt oczywiście nie wykluczał tego całkowicie, ale zdrowy rozsądek, logika faktów przemawiały na naszą korzyść. Obawialiśmy się bardziej sytuacji przypadkowej — właśnie takiego samochodu z grupą żołnierzy czy policjantów, którzy na trasie mogli nas zobaczyć i otworzyć ogień, albo drezyny z patrolem ochrony kolei. Niby nic wielkiego, poruszany ręcznie wózek i para uzbrojonych hitlerowców, a jednak oni mogli nam zupełnie pokrzyżować szyki. Zaginięcie drezyny stawało się od razu sygnałem alarmowym. Mowy nie było, żeby jakikolwiek pociąg wyruszył przed ponownym sprawdzeniem torów...

Ale starczy tych rozmyślań. „Boleszczyc" pokazuje mi zegarek. Czasu pozostało niewiele. Razem z „Saszą" wspinam się na wysoki nasyp. Co kilka metrów zjeżdżamy w dół na sypkim śniegu, który utrudnia ruchy. Wreszcie jesteśmy na górze, z białego puchu wystają dwie ciemne krechy szyn.

„Sasza" odgarnia śnieg butem, przyklęka i mówi cicho:

— Tu, tylko szybko!

Rękami próbujemy wyrwać oblodzone kamienie spod szyny. Niełatwo to idzie, trzymają mocno, mróz zrobił swoje. „Sasza" pomaga sobie metalowym prętem, wierci otwory, a ja wygrzebuję twardy tłuczeń. Górna warstwa tworzy zwartą skorupę, ale pod nią czuje się wilgoć i zlepione kamyki bez oporu opuszczają swoje miejsce. Dołek rośnie w oczach.

— Czas? — rzuca pytanie „Sasza".

— Jeszcze dwanaście minut — odpowiadam i w tym momencie oblewa mnie fala gorąca. Wyraźnie słyszę huk zbliżającego się pociągu. Co jest, do diabła? Halucynacja? Nerwy? Odbiegam kilka metrów i przykładam ucho do zimnej szyny, odprowadzony wzrokiem zdumionego „Saszy", który nie przerywa pracy. Nie mogę się połapać, czy rzeczywiście metal dudni, czy mój puls odbija się jakimś przedziwnym echem w całym organizmie. Wstaję i kręcę głową. Cisza, szum, znowu cisza... To chyba wiatr urządza takie kawały. Przynosi z oddali szmery i dźwięki, które w mojej wyostrzonej wyobraźni do złudzenia przypominają ruch pociągu na torze. Oczywista bzdura! Mamy jeszcze kilka minut do swej dyspozycji.

„Sasza" kończy układanie kostek trotylu. Trzykilogramowy ładunek wywali parowóz z toru. Jeszcze tylko założenie zapalnika z grafitem ołówkowym, zamaskowanie śniegiem rozrzuconych grud i kamieni, ostatnie spojrzenie na dzieło „Saszy" i — pryskamy w dół. Czas najwyższy, bo zdenerwowany „Boleszczyc", stojący obok nasypu, daje nam znaki ręką. W trójkę biegniemy do naszych chłopców, rozrzuconych wzdłuż toru w odległości kilkuset metrów.

Leżymy w śniegu i czekamy. Serce wali mi jak młotem. Z oddali dolatuje szum, zmieniający się stopniowo w głuchy łoskot. To już nie złudzenie, to oczekiwany z ogromnym napięciem pociąg, nasz pociąg, który nie dojedzie do celu.

— Uwaga, zbliża się! — mówi „Boleszczyc" takim głosem, jakby zapowiadał wielkie widowisko.

Widzę najpierw kłęby dymu, znoszone przez

wiatr i ścielące się na polach. Potem z mroku wynurza się cielsko lokomotywy, a za nią długi sznur krytych i otwartych wagonów. Na tych ostatnich kontury samochodów ciężarowych i jakichś brył przykrytych przypuszczalnie brezentowymi pokrowcami. Odległość i noc nie pozwalają na zidentyfikowanie tego „towaru", ale to na pewno ciężki sprzęt wojskowy.

Sekundy płyną ciurkiem, wolno jedzie ten pociąg. Wpatruję się w miejsce, gdzie podłożyliśmy trotyl. Tylko w to jedno miejsce, które zaraz rozbłyśnie gejzerem ognia.

Jeszcze pięćdziesiąt metrów, czterdzieści, trzydzieści...

Mrużę oczy i — spotyka mnie srogi zawód. Buchający dymem i iskrami parowóz przejeżdża dostojnie miejsce, gdzie czekał na niego partyzancki „prezent". Za nim suną załadowane wagony. Zupełnie zdezorientowany oczekuję wybuchu pod którymś z nich, ale nic się nie dzieje. Pociąg defiluje przed nami i oddala się w stronę Wólki Orłowskiej.

Roztrzęsiony „Sasza" nie może słowa wykrztusić. Jeszcze go nigdy nie widziałem w takim stanie. Łzy stanęły mu w oczach.

— Uspokój się — żądam, choć mnie też ponosi. — Trudno, stało się. Nauka nie pójdzie w las.

Chłopcy opuścili swoje stanowiska i otoczyli nas ciasnym kręgiem. Są też zawiedzeni i zdenerwowani. Nie byli na torze i nie wiedzą, dlaczego ładunek nie eksplodował.

„Sasza" powoli dochodzi do siebie.

— Dołek był za głęboki — tłumaczy, pomagając

sobie rękami. — Uginająca się pod lokomotywą szyna nie dotknęła zapalnika i grafit nie przełamał się. Innej przyczyny nie widzę. Trzeba rozbroić i zabrać ładunek!

Jakie to proste i zarazem skomplikowane. Tyle trudu i wysiłku, tyle obaw i zszarpanych nerwów, a tu różnica centymetra czy dwóch i fiasko. Ci, którzy pierwszy raz uczestniczyli w takiej akcji, z niedowierzaniem kręcili głowami. To bardzo nieprzyjemne uczucie być o krok od sukcesu i pogodzić się z porażką.

Jeszcze raz windujemy się na nasyp. W nastroju rozgoryczenia i przygnębienia nie zwracałem uwagi na to, że wyjmowanie niewypału z zapalnikiem jest bardziej niebezpieczne niż zakładanie. Z trotylem nie ma żartów, jeśli zadziała zapalnik... Na szczęście nie zadziałał, nie pisałbym inaczej tych słów. Straciliśmy sporo czasu na odnalezienie ładunku — maskowanie obróciło się jak na ironię przeciwko nam — ale gdy wreszcie trafiliśmy na miejsce ukrycia, „Sasza" okazał się saperem z zasadami.

— Ja tu tylko zostanę — oznajmił twardym głosem. — Tak nakazuje regulamin. Nie mogę was narażać.

Po kilkunastu minutach nerwowego wyczekiwania pod nasypem znowu byliśmy razem. „Sasza" rozchmurzył się. Wiedziałem, co to oznacza: Rozbrojenie ładunku bojowego jest sukcesem. Tylko człowiek, który potrafi przełamać własny lęk, dokona takiej sztuki. Nie na darmo powiadają, że saper myli się raz...

Nieludzko zmęczeni i głodni dobrnęliśmy do

naszego taboru. Dziewulskiemu nie chcieliśmy już sprawiać kłopotu, pomógł nam i tak wiele. Ponieważ konie już wypoczęły, zarządziłem przerzut całego oddziału do Ostrzycy Dworu. Chłopcy pogodzili się z tą decyzją, chociaż uśmiechała się im drzemka na sianie w stodole. No cóż, rozkaz to rozkaz. Sanie jechały skrótami, bo śnieg leżał na polach ścięty przygruntowym przymrozkiem. „Boleszczyca" pożegnaliśmy na trasie, pieszo udał się do swojej kwatery.

Ten nocny rajd w ciszy i pustce, pod zachmurzonym niebem, które poskąpiło nam nawet widoku gwiazd i księżyca, wprawił mnie w niewesoły nastrój. Tak długo przygotowywaliśmy się do akcji, tyle czasu zajęło nam ustalenie dokładnej godziny przejazdu transportu wojskowego i — wszystko na nic. Pocieszałem się, że to jeszcze nie koniec, ale jakaś zadra w świadomości pozostała. Niełatwo jest walczyć z wrogiem z dala od frontu.

O świcie byliśmy na miejscu. Kazimierz Bartnik wyznaczył chłopcom bezpieczne kwatery, wystawiając wartę ze swoich ludzi. Żaden z naszych nie wytrzymałby dwóch godzin na posterunku. Ofiarność też ma swoje granice i sam wiedziałem, że po tylu przejściach nie można przeciągać struny. Spaliśmy twardo do południa. Na nogi postawił nas dopiero obiad — kapuśniak i baranina. Troskliwy Bartnik nie żałował porcji, dla chętnych nie zabrakło repety.

MAJOWE NOCE

Ciężkie warunki atmosferyczne, które panowały do końca marca przedostatniej wojennej wiosny, utrudniły nam życie. Padał śnieg na przemian z deszczem, noce były zimne, w porze dziennej porywy wiatru łamały gałęzie i przewracały płoty. Problemem stawały się kwatery i żywność. W lesie nie mogliśmy jeszcze biwakować. Trzeba było kluczyć w terenie i — jak w poprzednim okresie — zmieniać miejsca postoju. Te przemarsze, noclegi o pustym żołądku, sypiące się buty, przemoczona i brudna odzież dawały się nam najbardziej we znaki. Roztopy, grząskie drogi, błoto odczuł również okupant. Nie mógł tak swobodnie jak w lecie czy zimie korzystać ze swego zmotoryzowanego taboru, a ruchów pieszych nie obawialiśmy się. Nasi chłopcy mieli większą zaprawę, wychowani na wsi lepiej radzili sobie w trudnym terenie, zwłaszcza w lasach.

Drugiego kwietnia 1944 roku na naszym obszarze pojawiło się nadciągające od Bugu silne zgrupowanie partyzanckie, liczące około 200 ludzi. Były to radzieckie oddziały kapitana Piotra Wasilenki, kapitana Anatola Nadielina oraz lejtenanta Siergieja Sankowa. W rejonie Kukawki i Wojsławic dołączył do nich oddział AL porucznika Edwarda Gronczewskiego — „Przepiórki".

Ponieważ zgrupowanie znalazło się prawie w pasie przyfrontowym, dezorganizując zaopatrzenie wroga i atakując jego linie komunikacyjne, Niemcy rzucili przeciwko niemu znaczne siły łącznie z lotnictwem. Partyzancki rajd przekształcił

się w jedno pasmo walki. W dniu 3 kwietnia zmęczone i wykrwawione oddziały dotarły do wsi Majdan Sitaniecki, zajmując stanowiska w wąwozach i sąsiednich lasach. Pościgowe grupy niemieckie wezwały na pomoc bombowce. Po dwóch atakach z powietrza wieś stanęła w ogniu. Stukasy z czarnymi krzyżami zeszły na niski pułap i ostrzelały z karabinów maszynowych partyzancki tabor, masakrując wiele koni i niszcząc mnóstwo wozów. Mimo tych strat i chaosu wywołanego bombami zgrupowanie nie zostało rozbite. W ciężkim boju, gdy dochodziło nawet do walki wręcz, partyzanci odparli kilka ataków wroga i umocnili się w lesie, chociaż dłuższy pobyt w jednym miejscu nie rokował żadnych szans przetrwania. W starciu z regularnym wojskiem, zaprawionym w działaniach frontowych, podstawową bronią partyzantów jest ruch — nagły atak, szybki odskok, zasadzka, kolejny atak... Walka w miejscu przy oczywistej przewadze nieprzyjaciela, liczbowej i materiałowej, może doprowadzić do wytracenia wszystkich ludzi. Mija się po prostu z celem, o czym doskonale wiedzieli dowódcy radzieckich oddziałów. Spodziewaliśmy się więc przerzutu tych sił na inny teren, co wkrótce nastąpiło.

Henryk Sidor — „Tur" z Krasnego zawiadomił mnie, że 4 kwietnia zgrupowanie przystąpi do forsowania szosy Lublin — Zamość w okolicach Izbicy, licząc na naszą pomoc. Wszystkie placówki AL na tutejszym terenie zostały postawione w stan alarmu.

W nocy zarządziłem pogotowie. Do akcji miało

wyruszyć trzydziestu ludzi wraz ze służbą sanitarną. Reszta, słabiej uzbrojona i jeszcze nie ostrzelana, pozostawała na miejscu z zadaniem przygotowania wozów i kwater dla rannych.

Wczesnym rankiem 4 kwietnia zebrałem oddział, wyznaczyłem szpicę i ubezpieczenie boczne, wyjaśniłem, na czym ma polegać nasze zadanie, i opuściliśmy rejon zakwaterowania, udając się w stronę Ostrzycy, a dalej głębokim wąwozem do wsi Wirkowice. Tam, na skraju lasu, zajęliśmy stanowiska.

Z Izbicy dolatywał huk bomb, warkot samolotów, a chwilami wiatr przynosił odgłos długich serii z karabinów maszynowych. Walka przygasała i przybierała na sile, na zmianę. Nie znałem jeszcze położenia stron. Domyślałem się tylko, że znajdujemy się na tyłach Niemców, za ich plecami, na co wskazywały odgłosy strzelaniny. Jak zwykle w takich sytuacjach, gdy działania nie były skoordynowane — a nie mogły być, bo nie mieliśmy łączności radiowej i trzeba było maszerować na huk bomb, jak ongiś nasi przodkowie szli na huk dział — wytworzył się swoisty przekładaniec. Bądź tu mądry, człowieku, gdzie swój, a gdzie wróg? Łatwo można się nadziać na ogień, a stać bezczynnie też nie wolno.

— „Skoczek"! — krzyknąłem. — Galopem do przodu! Sprawdź, co tam się dzieje i zorientuj się, gdzie jesteśmy! Szybko!

Chłopak skinął głową i razem ze mną runął na ziemię, gdy tuż nad drzewami, muskając wysmukłe korony, przemknął klucz Stukasów. Szły tak nisko, że widziałem jak na dłoni czarne krzyże,

żółte końcówki płatów, wypuszczone szpony podwozia i bomby, po pięć sztuk w każdym. Ciężko musi być naszym, skoro od rana hulają tak bezkarnie, a posłać na ziemię takiego gada niełatwo! Cekaem od razu wypatrzy i odpowie z góry, chyba tylko rusznica, ale też trafić trudno przy ich prędkości. Co innego na froncie, gdzie są myśliwce i artyleria, lecz tu, na tyłach, wróg ma przewagę. Lekceważyć tego nie można.

Od czoła dudniło coraz bardziej, gdy wrócił „Skoczek", zziajany i wybrudzony, bo czołgał się pod ogniem.

— Nasi już przecięli szosę Krasnystaw — Zamość — wyrzucił z siebie, z trudem łapiąc oddech. — Atakowali kilka razy. Kupa samochodów tam się pali, a ile szwabów leży! Posuwają się teraz w stronę Wieprza.

— Czyli spotkamy się — odpowiedziałem. — Dojdą do naszego lasu. Dobrze się spisałeś, „Skoczek"!

— A, co tam — odparł. — Jak trzeba, to trzeba.

Znowu wzmogła się strzelanina. Przesunęliśmy nasze stanowiska, mając przed sobą kawał otwartej przestrzeni. Dopiero później dowiedziałem się, że podczas tej walki dosłownie między partyzantów a Niemców wpakował się pociąg towarowy ze sprzętem wojskowym. Zdezorientowany maszynista, nie pojmując, co się dzieje, zatrzymał parowóz i czmychnął w pole razem z pomocnikiem. W ich ślady poszli hitlerowcy z licznych wagonów. Część skakała wprost pod ogień partyzantów, część w stronę przeciwną, do swoich. Strzelali jedni i drudzy. Zanim zdołano opanować ten galimatias, Rosjanie wdarli się na tory. Ogniem z bliska i granatami rozłupali kilka wagonów, zniszczyli sprzęt. Pociąg zaczął płonąć. W kocioł lokomotywy poszła wiązka kostek trotylu z zapalnikiem uderzeniowym. Łupnęło i została kupa szmelcu. Ale wróg ochłonął po pierwszym zaskoczeniu. Od strony Zamościa pojawiły się samochody z posiłkami, nadleciały bombowce. Wtedy właśnie dowódcy radzieckich oddziałów, ciągle panując nad rozwojem wydarzeń, nakazali przerwać walkę i odskoczyć do lasu koło Wirkowic. Partyzanci przedzierali się w małych grupach, prowadząc ze sobą jeńców z rozbitego pociągu. Las ciągnął się szerokim kompleksem, znacznie już przerzedzonym, aż do wsi Wirkowice i majątku Płonka. Tu tkwiliśmy z bronią gotową do strzału, nie wiedząc jeszcze, kto pierwszy zjawi się na przedpolu: nasi czy wróg?

Chłopcy spoglądali na mnie. Widziałem ich pobladłe i zacięte twarze, czułem to, co oni. Byli gotowi, skupieni. Wystarczyło dać sygnał ręką, żeby rąbnęli ze wszystkich luf. Nie chciałbym być wówczas w skórze nieprzyjaciela. Ogień w twarz jest straszny, kładzie pokotem bez wyboru.

— Są, o, tam! — ktoś krzyknął. — Z lewej!

Wytężam wzrok, szukam. Przydałaby się, psiakrew, lornetka. Z daleka trudno odróżnić partyzanta od Niemca, tym bardziej że niektórzy noszą mundury wroga. Chyba tylko po hełmach, ale hitlerowcy mają zwyczaj poruszania się z gołymi głowami, jeśli ich zdaniem nic im nie zagraża, a przecież nie wiedzą, kto tu na nich czeka. Wypatruję uważnie. Jest jedna grupa, nieco dalej

drugą... Skradają się, przeskakują od drzewa do drzewa, pokazują coś rękami. Liczę ludzi i sekundy, coś trzeba robić w takich chwilach.

Nagły grzmot podrywa mnie z miejsca. Aż ziemia zadrżała od tego huku. A to co znowu? Ciężka bomba? Pojęcia nie mam i nie widzę żadnego wybuchu przed sobą. Widzę natomiast bratnie twarze.

— Hurra, to nasi! — wrzeszczy „Szerszeń" i podnosi się na całą wysokość, a za nim reszta chłopców. — Priwiet, druzja!

Nasi. Jakie to proste. My i oni walczymy o jedną sprawę, nic nas nie dzieli, wszystko łączy. Ściskamy się, poklepujemy. „Sasza" promienieje, wszak to jego rodacy, a nasi przyjaciele. Oto jak rodzi się prawdziwa przyjaźń. Nie na szczeblach i szczytach, nie w zaciszu dyplomatycznych gabinetów, ale w polu, w walce, w pobliżu wroga, który jest naszym wspólnym wrogiem. Porywa nas ta wspaniała chwila, choć znajdujemy się w ciężkim położeniu. Za nadciągającymi grupami radzieckich partyzantów podejdzie zaraz wróg.

— Co to za huk? — pytam jednego z nich, szczupłego blondyna w „gimnastiorce", ćmiącego skręta w kąciku ust. Z sylwetki i twarzy widać, że to pistolet pierwszej klasy.

— Most na Wieprzu wywalili — tłumaczy „Sasza", który nie opuszcza mnie ani na krok.

— Doszczętnie? — ponawiam pytanie, bo znam ten obiekt i domyślam się, ile musieli zużyć trotylu, żeby go zniszczyć.

— Da — odpowiada flegmatycznie blondyn. — Paszoł wot zdieś — pokazuje palcem niebo.

Dobra robota. Niemcy nie przerzucą tamtędy swego taboru, opóźnią działania pościgowe. Czas staje się naszym sojusznikiem, zmęczeni walką partyzanci radzieccy mogą nieco odetchnąć. Jest ich coraz więcej, zajmują stanowiska między drzewami. Z zazdrością spoglądam na ich cekaemy i taśmy amunicji, na rusznice, na pistolety maszynowe ze składanymi kolbami. Przypomina mi się „Kostia", też uzbrojony po zęby, ale ci są lepsi. Nigdy jeszcze nie widziałem takiej zbrojowni. Nic dziwnego, że natłukli tylu szwabów i wcale nie zdradzają ani cienia lęku przed nimi.

Atmosfera prawie frontowa. Raz po raz wybuchają moździerzowe granaty, trzaskają pojedyncze strzały z karabinów. Niemcy są ostrożni, nie pchają się do lasu. Biją na oślep, to tu, to tam. Macają typowym ogniem nękającym. Właściwie nic groźnego, ale syk spadających pocisków psuje nam nerwy. Odruchowo pochylamy głowy, gdy spada taka „piguła" i wyrzuca w powietrze słup ziemi.

„Skoczek", dowcipny chłopak, kpi z tego ostrzału.

— Trzeba im las poszerzyć — mówi — może wtedy trafią...

— Też się wyrwał — rzuca ktoś, leżący obok niego. — Jak ci życie niemiłe, to wystaw łeb. Stukną raz i po wszystkim...

Nie przerywam tego „dialogu". To nerwy, drążące świadomość poczucie niewiadomej, co może się stać za chwilę, w następnej minucie lub sekundzie. Człowiek jest tylko człowiekiem, bohaterem nikt się nie rodzi. Ludzie reagują różnie w czasie zagrożenia: są hałaśliwi lub opanowani, smutni

lub tryskający sztucznym humorem, małomówni lub rozgadani... Znałem mocnych w słowie, którzy drętwieli w akcji, i takich bez wyrazu, skromnych i cichych, bojaźliwych na oko, którzy w decydujących momentach swą postawą mogli zaimponować każdemu, przerastając po prostu siebie.

Do południa trwa przedbitewny nastrój. Biją tylko moździerze i nad lasem krąży „rama", niemiecki samolot rozpoznawczy. Lata wyżej i niżej, przechyla się na boki, ale nie strzela. Albo nas nie widzi, co jest mało prawdopodobne, albo fotografuje, aby te zdjęcia i wyniki ustaleń wzrokowych przekazać bombowcom lub artylerii. Nie mam żadnych złudzeń, wróg nie zostawi nas w spokoju. Zwiadowcy — radzieccy i z oddziału „Przepiórki" — buszują na odległych podejściach do lasu i nie sygnalizują żadnych ruchów. Wiemy, co to oznacza. Na pewno następuje przegrupowanie sił, ściąganie nowych odwodów. Gdzieś tam w sztabach wroga rodzi się plan dalszej akcji, wokół zgrupowania czasowo rozmieszczonego w wirkowickim lesie zaciska się zapewne obręcz. Trudno odgadnąć, z którego kierunku uderzy teraz nieprzyjaciel.

Chwilami ogień jest bardziej intensywny. Moździerze tłuką salwami po sześć — osiem granatów. Leci to żelastwo z sykiem, jakby koziołkowało w powietrzu, i rwie poszycie lasu, aż ziemia stęka. Walą się z trzaskiem wysokie sosny i świerki, snuje się dym między drzewami, w nozdrza uderza ostra woń spalonego prochu. Są już ranni. Nasze sanitariuszki: Cecylia Kołodziejczyk, Kamila Tomasik, Halina Bis i Mieczysława Palat, udzielają

pomocy partyzantom. Akcją kieruje lekarz z oddziału kapitana Wasilenki. Kilku ciężko rannych trzeba ewakuować. Odłamki z moździerzowych granatów poharatały im nogi, o własnych siłach nie mogą się poruszać. Organizuję podwody i pod eskortą naszych chłopców odsyłam ich do bazy w Piaskach Szlacheckich. Drugą grupę rannych przejmuje pod swoją opiekę „Cygan", który też przybył do Wirkowic ze swoim oddziałem. Pojechali furmankami do Chłaniowa. Radziecki lekarz — nie zapamiętałem, niestety, jego nazwiska ani pseudonimu — dziękuje nam, ale jest zarazem zaniepokojony. Wolałby mieć tych ludzi przy sobie, choć tu, w lesie, wśród wybuchających pocisków, niewiele mógłby dla nich zrobić. Zapewniamy go, że ranni znajdą troskliwą opiekę, wrócą do zdrowia i pozostaną razem z nami aż do dnia wyzwolenia lub skontaktujemy ich z radzieckimi partyzantami. Lekarz wręczył sanitariuszkom jakieś zastrzyki, pastylki i buteleczki z ciemnym płynem. Już one wiedziały, do czego to służy.

— A wy? — zapytałem go, przypominając, że dalsza walka nie obejdzie się bez ofiar.

— Starczy — odparł, pokazując mi torbę pełną lekarstw. — Mamy jeszcze dwie skrzynie na wozie. Tylko z bandażem i watą skąpo.

Po południu przeleciały nad lasem trzy Stukasy. Pojawiły się ze strony wschodniej, daleko od naszych stanowisk, i zrzuciły serię bomb. Na szczęście znowu niecelnie. Kilka razy posypał się grad pocisków moździerzowych, w zeskrodkowaniu i na rozrzut, co świadczyło, że Niemcy ciągle nie znają rozmieszczenia naszych sił. Czuliśmy już zmęcze-

nie od tego ognia. Człowiek nie wiedział, kiedy i gdzie zakotłuje się ziemia.

Zbliżał się wieczór. Z przedpola zaczęły napływać niepomyślne meldunki. Zwiadowcy ustalili, że w rejonie Izbicy i Starego Zamościa wróg zbiera siły. Podobno były tam nawet czołgi. Kiedy uderzą? W nocy Niemcy na ogół niechętnie wkraczali do lasu, a więc chyba jutro z rana...

Razem z „Cyganem" udałem się do kapitana Wasilenki, który przejął dowodzenie nad wszystkimi oddziałami ze swego zgrupowania. Spotkaliśmy go obok stanowiska karabinów maszynowych, przygotowanych do strzelania okrężnego. Zobaczyłem go po raz pierwszy. Młody blondyn, średniego wzrostu, w oficerskim płaszczu i futrzanej czapce z czerwoną gwiazdą, spojrzał na nas przemęczonym wzrokiem i uśmiechnął się. Na jego twarzy dostrzegłem ślady znużenia, na pewno dokuczał mu brak snu, przytłaczał ciężar odpowiedzialności za ludzi i dalszą walkę.

Obok siedziała pod ochroną grupa jeńców niemieckich. Było ich kilkunastu, bez pasów, z opuszczonymi głowami i ponurym spojrzeniem. Sami żołnierze Wehrmachtu, jak się zdążyłem zorientować po ich umundurowaniu, w różnym wieku, apatyczni i milczący. Można było odnieść wrażenie, że są obrażeni i zagniewani, jakby nie poczuwając się do żadnej winy. Doprawdy dziwna mentalność!

Jeńcy nie słyszeli, oczywiście, o czym rozmawialiśmy. „Cygan" przedstawił się radzieckiemu oficerowi, oświadczając, że jest do jego dyspozycji i służy pomocą. Kapitan Wasilenko słuchał go

uważnie, do rozmowy przyłączyło się kilku jego podwładnych. Sceneria sama nastrajała do podjęcia jednej tylko sprawy, najważniejszej — odskoku na inny teren i oderwania się od nieprzyjaciela. Staliśmy na skraju małej polany, nad nami rozlegał się warkot „ramy", znowu krążącej nad lasem, gasło powoli słońce, od strony Izbicy słychać było strzały, między drzewami unosił się dym... Obrazek zgoła batalistyczny, choć daleko nam było do takich porównań.

Kapitan Wasilenko wyjął z torby podniszczoną mapę, znalazł na niej miejsce, gdzie zatrzymało się jego zgrupowanie. Orientował się dobrze w terenie, interesowała go charakterystyka dróg i przejść w okolicznych lasach. „Cygan" powoli tłumaczył, znając świetnie tutejsze strony. Wszyscy zgadzali się, że dalszy postój w rejonie Wirkowic nie ma sensu. Można co najwyżej odetchnąć jeszcze parę godzin, uporządkować oddziały, ale odmarsz stawał się koniecznością. Pozostawało pytanie, dokąd, w którym kierunku? W tej kwestii „Cygan" nie zabierał głosu. Nie mógł wiedzieć — bo i skąd? — jakie zadania planował na najbliższą przyszłość kapitan Wasilenko. Walka na tyłach to pojęcie bardzo ogólne. Skoro zgrupowanie znalazło się na zapleczu frontu, na pewno postawiono przed nim konkretne zadania.

Stanęło na tym, że wymarsz nastąpi o godzinie 23.50 w trzech kolumnach w kierunku północno-zachodnim. Oddział „Cygana" miał towarzyszyć partyzantom do granicy lasu wirkowickiego i zawrócić. Mnie polecono przejść z powrotem do Piasków Szlacheckich, zająć się rannymi i wykony-

wać — jak dotychczas — zadania dywersyjne na obszarze 5 okręgu AL. W taki sposób rozstaliśmy się.

Do dziś tkwi mi w oczach moment pożegnania. Kapitan Wasilenko uścisnął mi serdecznie dłoń i zasalutował, przyglądając się badawczo, jakby chciał zapamiętać moją twarz. Nie przypuszczałem, że widzimy się po raz ostatni. Przybiła mnie ogromnie jego śmierć. Kapitan, a później major Piotr Wasilenko, oficer Armii Radzieckiej działający na tyłach wroga, zginął w obronie Porytowego Wzgórza w lasach janowskich, walcząc ramię w ramię z polskimi towarzyszami broni. Okrutna wojna zabrała jeszcze jedno życie człowieka, który poległ z dala od swojej ojczyzny.

Zgodnie z decyzją „Cygana" odmaszerowałem nieco wcześniej, gdy zgrupowanie opuszczało dopiero swoje stanowiska. Uprzedzono mnie, że na powrotnej trasie mogę spotkać Niemców, o czym zresztą sam wiedziałem. Posuwaliśmy się ostrożnie, od punktu do punktu, pojedynczo przeskakując otwarte przestrzenie. Za nami, z lewej, tryskały w ciemne niebo rakiety — białe i zielone. Wróg coś tam sygnalizował, chociaż nadal panowała cisza. Idący przed nami „Skoczek", w odległości około stu metrów, zatrzymał się w pewnej chwili. Zbliżyłem się do niego, a pozostali chłopcy zalegli z bronią gotową do otwarcia ognia. Czyżby Niemcy? Nigdy nie wiadomo, kogo można spotkać w środku nocy.

„Skoczek" łapie mnie za ramię.

— O, tam — mówi szeptem. — Jedzie. Widzicie?

Nic nie widzę. Ależ ten chłopak ma oczy! Idę wzrokiem za jego wyciągniętą ręką i wreszcie dostrzegam poruszający się punkt na drodze między drzewami. To nie jest samochód. Chyba furmanka, tak, na pewno, bo zobaczyłem konia. O tej porze? Ciekawe, komu chciało się wyruszać z domu.

Przyspieszamy kroku, za nami przemykają cienie partyzantów. Nie zamierzamy, oczywiście, wszczynać hałasu, ale intryguje nas ten samotny wóz. Może jedzie na wabia? — świta mi w głowie myśl.

Zbliżamy się do furmanki, załadowanej kłodami drzewa. Woźnicy nie widać, koń ciągnie sam, podrzucając łbem z długą grzywą. „Skoczek" wpada między sosny, rozgląda się i wykrzykuje:

— Stój!

Wychodzi na drogę ze starszym chłopem, który pokornie schyla głowę, aż mnie coś w sercu ściska. Za kogo on nas bierze?

— Panowie — mówi drżącym głosem. — Nie czyńcie krzywdy, ja tutejszy...

— A my to skąd, ojczulku — uspokajam go. — Też swoi, nie musicie nas się bać. Z jednej krwi jesteśmy, biedę znamy, takim, jak wy, zawsze pomożemy. Drzewo wieziecie?

— Ano, drzewo — odpowiada, spoglądając trochę nieufnie na nasze „pepesze".

— I tak sam, w nocy?

— A z kim? Stara choruje, syna zabrali. Ot, takie życie...

— Dokąd zabrali? Młody był? — pyta „Skoczek".

— Osiemnaście mu szło, chłopak robotny, spokojny. Dokąd zabrali — powtarza. — A bo ja wiem. Przyjechali, psubraty, w nocy, kazali się ubierać i tyle go widziałem. Sołtys mówi, że do Niemiec, do fabryki, ale kto ich tam wie. Żadnej wiadomości nie mam, a już rok leci. Że nie ma kary na tych krzyżaków, co się tak rozpanoszyli. A wy to kto? — dorzucił po chwili, nie odrywając wzroku od broni. — Takie fuzje nosicie i po naszemu gadacie.

— Partyzanci, ojczulku — wykładam bez ogródek. — Leśne wojsko. Nie słyszeliście o takich?

— Słyszeć słyszałem, ale nie widziałem. Boje tu wczoraj srogie były i ludzie powiadają, że to wy poszliście na Niemca.

— Tak, my — potwierdzam. — Partyzanci radzieccy i polscy, bo razem walczymy i nie złożymy broni, dopóki ostatni krzyżak, jak powiadacie, nie opuści raz na zawsze naszej ziemi. Spłacimy im za wszystko, i za waszego syna, i za waszą biedę, i za innych, którzy zginęli. Jeszcze trochę, wytrzymaliśmy tyle lat, wytrzymamy ostatnie kilka miesięcy. Wolność przyjdzie stamtąd — mówię, pokazując ręką wschód.

— Znaczy od Ruskich — dodaje chłop i kiwa głową z aprobatą. — Twardy naród, swoje wycierpiał, gdy Hitler szedł na Moskwę, ale połamali mu zęby. Pognali aż hej. Niech wiedzą, psubraty, że jest silniejszy, co sprawiedliwą karę im niesie. Kilka miesięcy, powiadacie. Oby wasze słowa prawdą były...

Prosty człowiek, a jak mądrze myślał. Nie spodziewał się, że tak będziemy z nim rozmawiać. Uwierzył, kogo ma przed sobą. Partyzantów z ludu, a nie jakichś obiboków, co nocą włóczą się bez celu. Dołożyliśmy mu trochę drewna, czym był do reszty rozczulony. Żegnał nas jak synów, życząc od serca pomyślności na trudnej drodze, jaką obraliśmy, aby właśnie tacy jak on nie musieli drżeć o los swych dzieci, przymierać głodem i szukać łaski u bogatych, jeśli już zapanuje pokój.

„Skoczek" ukradkiem otarł łzę, gdy go chłop obejmował.

— Zupełnie jak rodzony ojciec — przyznał potem — a ja głupi „stój" do niego krzyczałem.

W bazie przyjął nas zaniepokojny Bartnik z kilkoma partyzantami, ściągniętymi z placówki. Nie wiedzieli, co się dzieje w lesie wirkowickim. Podwody z rannymi były złym znakiem. Sanitariuszki potwierdziły tylko, że wróg atakuje z powietrza bombami, ostrzeliwuje zgrupowanie z moździerzy i w ogóle zanosi się na ciężką walkę. Uspokoiłem go, choć ciekawiło mnie, czy udał się odskok.

Nie czekaliśmy długo na nowe wiadomości. Z ulgą dowiedziałem się, że kapitan Wasilenko wyprowadził swoje zgrupowanie i Niemcy uderzyli w próżnię. Partyzanci pozostawili w lesie kilka ognisk, co sprawiało wrażenie, że grzeją się lub gotują strawę. Wróg wypatrzył te punkty i czekał przyczajony do świtu. Zaraz po pierwszych promieniach na wirkowicki las poszły salwy moździerzy, a potem z trzech kierunków ruszyła tyraliera piechoty. Wyobrażam sobie, jaka wściekłość ich ogarnęła, gdy nikogo nie zastali. Mieć już na celownikach całe zgrupowanie, zamk-

nąć przejścia! — nic nie osiągnąć to wręcz policzek. Musieli dostać za swoje od przełożonych z Lublina. Na pewno skakali sobie do oczu, jak zwykle po nieudanej akcji. Docierały do nas wieści, że każda ze stron usprawiedliwia się i szuka winnego, gdy walka z partyzantami kończy się fiaskiem. Wojsko sobie, policja i żandarmeria sobie, trupie czaszki z SS też sobie... Niby wszystko jednakie, obce i wrogie, a jednak w tym galimatiasie kompetencji, obowiązków, aspiracji oni sami zaczęli się gubić, co oczywiście było nam na rękę. Czort z wami, prędzej czy później i tak to wszystko runie. „Raczej prędzej niż później" — jak słusznie podkreślał „Boleszczyc".

Żeby jeszcze bardziej pogłębić te rozbieżności, rozwinęliśmy wiosną 1944 roku akcję propagandową, ściślej mówiąc — psychologiczną. Drukowaliśmy na przykład ulotki w języku niemieckim, zawierające taką treść: „My, polska Armia Ludowa, nie chcemy prowadzić wojny z narodem niemieckim. Jesteśmy wrogami hitleryzmu i faszyzmu, który był grabarzem waszej i naszej wolności. Ocknijcie się, póki jeszcze czas, pomagajcie nam rozbijać i osłabiać machinę terroru i wojny, której III Rzesza nie wygra. Zastanówcie się, jaka przyszłość was czeka u boku Hitlera". Ulotki rozrzucano w Tarnogórze, Izbicy i Krasnymstawie, tam, gdzie stacjonowały jednostki niemieckie.

Z dowództwa 5 okręgu AL otrzymywaliśmy ulotki pisane czcionką drukarską, starannie i bezbłędnie, też w języku niemieckim. Nie wiem, kto był ich autorem. Mówiły one o zbrodniach dokonanych przez hitlerowców na naszych ziemiach,

o przymusowych wysiedlaniach i grabieniu ludności, o masowych egzekucjach, o obozach koncentracyjnych i piecach krematoryjnych. Apelowały do sumienia i rozumu tych Niemców, którzy po kilku latach niszczycielskiej wojny, po poniesionych klęskach na wschodzie i ciągłych bombardowaniach Rzeszy na zachodzie, powinni wreszcie otworzyć oczy, jeśli nie chcieli stanąć w jednym szeregu ze zbrodniarzami, oczekując już tylko na wymiar sprawiedliwości. Słowa były mocne, uderzające w sedno, odkrywające prawdę.

Nie wiem, niestety, jak reagowali na nie Niemcy w mundurach, zwłaszcza ci z Wehrmachtu. Nie mogliśmy tego sprawdzić. Nasz wywiad tak daleko nie sięgał. Stwierdziliśmy natomiast duże poruszenie wśród Niemców zatrudnionych w administracji, w różnych urzędach, a także wśród tych — nielicznych — którzy dali się namówić na podpisanie volkslisty. Nie byli już tak butni i pewni swego losu jak dawniej, nie podnosili głosu w kontaktach z Polakami. W obawie o własną skórę przymykali nawet oczy na sprawy, za jakie szło się pod ścianę lub do obozu koncentracyjnego. Nie wszyscy, oczywiście, ale oznaki lęku stawały się coraz bardziej widoczne. I to nas cieszyło, okupacyjny aparat, bezlitosny i okrutny przez tyle lat, zaczął zdradzać swoją słabość, trzeszczał od środka. Hitlerowcy mogli liczyć na swą siłę zbrojną, zwłaszcza na organy Służby Bezpieczeństwa i Policji Bezpieczeństwa spod znaku SS, lecz wojna przerzedziła ich szeregi. Wielu oprawców poszło na front, wielu zginęło. Postępujący kryzys kadrowy rzucał się w oczy. W mundurach

widziało się szczeniaków przedwcześnie wyciągniętych ze szkolnej ławy — i ci jeszcze wierzyli w swego führera po wieloletnim praniu mózgów w Hitlerjugend — oraz jegomościów z brzuszkiem i łysiną, którym, jak przypuszczam, niewiele lat pozostało do emerytury u boku jakiejś tam Grety czy Fredy. Nadrabiali minami, ale jak tu prostować kark, gdy w krzyżu łamie reumatyzm lub inna „pokojowa" choroba.

Nie wspominam już o pisaniu haseł na murach, które psuły hitlerowcom krew. Ta „malowana wojna" miała już swoją historię nie tylko na Lubelszczyźnie, celowała w niej zwłaszcza Warszawa, o czym dowiadywaliśmy się od podróżnych i z konspiracyjnej prasy.

*

Zbliżał się maj, najpiękniejszy miesiąc roku, jak powiadają, choć ja wolałem wrzesień, gdy królowała polska jesień, pełna kolorów i słońca. Las zmienił barwę, zazielenił się i zaszumiał koronami drzew. Ostatni atak zimy poszedł w niepamięć. Po śnieżnej bieli nie zostało śladu, temperatura skoczyła w górę. W oczach ginęła wilgoć na polach, weselej śpiewały ptaki. W ogóle człowiek czuł się inaczej, jakoś raźniej i lepiej, choć powodów do radości nie było zbyt wiele.

Od czasu rajdu kapitana Wasilenki na naszym terenie panował spokój, to znaczy, nie podejmowaliśmy akcji zbrojnych, ograniczając się do pracy organizacyjnej i politycznej, też bardzo ważnej i wcale niełatwej. Ale spokój był względny. Przez tydzień po nieudanym wypadzie w wirkowickim

lesie Niemcy penetrowali wsie, jeżdżąc w licznych grupach na samochodach i motocyklach. Demonstrowali po prostu swą siłę, jakby dla zastraszenia ludności. Oglądałem ich z ukrycia w Piaskach Szlacheckich. W biały dzień wpadła nagle taka grupa, płosząc kury i psy, które szczerzyły kły na ich widok. Trzy motocykle na czele, w każdym erkaem i oni — w hełmach z okularami, w cętkowanych „panterkach", z pistoletami maszynowymi na piersiach. Spoglądali spode łba zimnym wzrokiem, obserwując każdy dom. Za nimi otwarty samochód osobowy piaskowego koloru z położoną przednią szybą, a w nim czterech rosłych drabów z emblematami SS na kołnierzach. Broń w dłoniach, groźnie wymierzona w lewo i prawo. Potem jeszcze dwa wozy ciężarowe z drużynami żołnierzy Wehrmachtu i kolumnę zamykał motocykl z koszem. Niemiec siedział na nim plecami do kierunku jazdy, mierząc z pistoletu maszynowego w mijane chałupy. Kierowca był dziwnie pochylony, niżej niż normalnie, jakby spodziewając się, że zaraz padną za nim strzały.

Obserwowałem ich przez szparę w dachu stodoły, zakopany po uszy w słomie. W rękach miałem „pepeszę" i czułem, że jej osłona lufy staje się dziwnie wilgotna. Żywcem nie wzięliby mnie, ale przy takiej różnicy sił nie mógłbym się długo bronić. Czekałem w napięciu, co będzie dalej, lecz Niemcy — o dziwo — nie raczyli nawet zejść ze swoich pojazdów. Przejechali wolno wiejską drogą, zadowoleni z wrażenia, jakie wywołali, i — tyle ich widziałem.

Podobne spotkanie przeżyłem z chłopcami w Ostrzycy Dworze. Z chrzęstem gąsienic przetoczyły się dwa opancerzone transportery z piechotą. Gdyby co, nie dalibyśmy rady skrytym za osłoną ze stalowych burt. Na szczęście i tam zakończyło się ulgowo. Groźne wozy opuściły wieś, nie zatrzymując się.

W takich warunkach każda akcja bojowa zakończyłaby się niepowodzeniem. Hitlerowcy świadomie prowokowali partyzantów, podstawiali się niejako pod cios, aby po ściągnięciu posiłków, oczywiście zmotoryzowanych, wystrzelać mieszkańców i spalić wieś. Zdawaliśmy sobie z tego sprawę i nikt nie zamierzał wychodzić im naprzeciw. Co innego z dala od wsi, w lesie, na torach. Tam czuliśmy się pewniej, mając większą swobodę ruchu, szybkiego przejścia na inny teren, choć obawa, że wróg będzie szukał krwawej zemsty na ludności cywilnej, zawsze istniała. Zbyt dobrze znaliśmy już hitlerowców. Gdy brakowało im jakiegokolwiek pretekstu, niszczyli, palili i zabijali bez pretekstu, bo to wynikało ze świadomie założonych celów ludobójczej polityki na okupowanych ziemiach polskich.

Od połowy kwietnia i w pierwszych dniach maja 1944 roku trwały też intensywne przerzuty wojska na arteriach kolejowych i drogowych. Ruch obserwowaliśmy zawsze, ale w tym okresie nastąpiło jego szczególne nasilenie. Oddziały jechały na wschód i na zachód. Nie mogliśmy się zorientować, o co tu chodzi. Jakieś przetasowanie jednostek, wymiana, przegrupowanie? A może organizowanie odwodów, które miały wejść do działań w razie przełamania frontu na kierunku południowym? Nie wiedzieliśmy, lecz ten ruch, odbywający się w dzień i w nocy, zmuszał nas do zachowania ostrożności, do „wstrzymania oddechu" — jak mówił „Boleszczyc". Zaczęła wtedy szwankować łączność, dostawa konspiracyjnej prasy, materiałów wybuchowych, doraźnie rwały się nici wywiadu. Pamiętałem taki okres z początkowych miesięcy wojny ze Związkiem Radzieckim. Wtedy też mrowie hitlerowców zalało Lubelszczyznę, a nasza organizacja stawiała dopiero pierwsze kroki. Teraz byliśmy w lepszym położeniu, placówki i oddziały Armii Ludowej już okrzepły, lecz mimo to, mimo naszych wysiłków, sytuacja nie pozwalała na przeprowadzenie jakichś akcji. Brawura to za mało, żeby osiągnąć konkretny sukces. Trzeba ją połączyć z chłodną kalkulacją, a ta, niestety, nie dawała nam wielu szans. Postanowiliśmy zaczekać, bo wszystko przemawiało za tym, że ten nasilony ruch nie może trwać długo. W żaden przełom na wschodnim froncie, korzystny dla hitlerowców, nikt z nas nie wierzył. To już nie byli ci sami Niemcy, co w lecie 1941 roku.

Przewidywania okazały się słuszne. Już wkrótce na drogach od wielu dni szczękających żelastwem zapanował spokój. Wielka fala odpłynęła na wschód. Spadła wyraźnie częstotliwość wojskowych transportów kolejowych, w porze dziennej nie było ich wcale widać. Kursowały tylko w nocy w obawie przed atakami radzieckiego lotnictwa, które już operowało nad obszarem Lubelszczyzny.

„Boleszczyc" zjawił się nie zapowiadany, to było w jego stylu. Dotarł do leśnego biwaku wieczorem, gdy czekaliśmy na kolację. Odczuwaliśmy znowu kłopoty aprowizacyjne po wyczerpaniu skromnych zapasów. Od chłopów nie braliśmy żywności, sami jej wówczas nie mieli. Trzeba było zorganizować jakiś wypad do któregoś z liegenschaftów, ale póki co, Bartnik wyskrobał resztki i uraczył nas tego wieczoru krupnikiem z ostatnim kawałkiem słoniny. Jedliśmy z apetytem, razem z „Boleszczycem", który przyniósł woreczek soli.

Było cicho i sennie, na niebie mrugały pierwsze gwiazdy i jasno świecił księżyc. Las przynosił świeży aromat nagrzanego za dnia igliwia. Za taką pogodą tęskniliśmy od dawna. Skończyła się wiosenna plucha, przeklinana przez wszystkich. Deszcz ze śniegiem był gorszy od mrozu. Nie mieliśmy namiotów ani peleryn, wilgoć przenikała przez marne kapoty, każdy drżał z zimna. A już największym zmartwieniem były buty, ciągle mokre, oblepione gliną, przepuszczające wodę, która dosłownie chlupała pod stopami. Wysuszone przy piecu lub ognisku, trochę na słowo honoru, stawały się sztywne jak wykopaliskowy eksponat. Marsz w takich chodakach, kaleczących nogi, graniczył z udręką.

I oto zaczął się inny okres, słońca i ciepła, jasnych nocy i pogodnych dni. Wszystko wokół nas budziło się do życia, napawało nutą nadziei, skłaniało do zadumy nad własnym losem.

Pogadaliśmy trochę z „Boleszczycem" o tych ludzkich przecież sprawach — wszak byliśmy jeszcze młodzi i nie samą walką żył każdy z nas — a potem on zmienił temat.

— Przewaliło się już draństwo — zauważył trafnie, nie wdając się w roztrząsanie szczegółów. — Co masz w planie?

Pytanie skierowane było do mnie, ale od razu ożywił się siedzący obok „Sasza", przeczuwając, że poruszę coś z jego „resortu".

— Fakt, przewaliło — przyznałem. — No cóż, trzeba się rozejrzeć za jakimś transportem. Kontakt ze stacją w Izbicy już nawiązałem. Muszę dokładniej ustalić, kiedy nawinie się coś wartościowego...

— A wtedy łupniemy — dokończył „Sasza".

„Boleszczyc" skinął głową. Pokazałem mu notatki o ruchach pociągów na „naszej" trasie. Uchwycenie właściwego momentu przejazdu w punkcie przez nas obranym było, jak zwykle zresztą, nader trudne. Transporty wojskowe nadal szły nieregularnie, awizowano je od stacji do stacji w różnych godzinach, o czym kolejarze dowiadywali się zbyt późno, aby ta informacja mogła do nas dotrzeć na czas. Nie mieliśmy przecież telefonu ani radia, łącznik z meldunkiem też nie gwarantował punktualności, bo najczęściej maszerował pieszo lub korzystał z okazyjnej furmanki. Zbyt często zdarzało się, że cenna wiadomość jest musztardą po obiedzie. Pociąg był, i to jaki, ale pojechał! Proponowałem kiedyś rozmieszczenie oddziału w pobliżu torów, by na miejscu czekać na informację. Chłopcy zapalili się nawet do tego

pomysłu, lecz sam musiałem go odrzucić. Niemcy zbyt często patrolowali tory i pobocza, urządzali zasadzki, zajmowali stanowiska z bronią maszynową. Tam, gdzie linia kolejowa przebiegała przez las, wycinali drzewa w odstępie stu metrów z obu stron od toru. Skryte podejście stawało się niemożliwe. Przy mostach i wiaduktach czuwali na posterunkach przez całą dobę, budując bunkry dla wartowników i ustawiając silne reflektory, włączane w momentach zagrożenia. Patrole posługiwały się tresowanymi psami, które potrafiły wywęszyć świeżo wykopany dołek, nie mówiąc już o natychmiastowej reakcji na widok obcego człowieka. Pojawiły się nowe tablice ostrzegawcze. Podejście do torów groziło śmiercią bez względu na porę. Hitlerowcy strzelali bez ostrzeżenia, od ich pocisków ginęły nawet krowy, jeśli soczysta trawa wabiła poczciwe krasule do zakazanych miejsc.

Mimo tych wszystkich przeszkód postanowiliśmy osiągnąć swój cel. Irytowała nas zwłaszcza ostatnia akcja, zakończona fiaskiem. Rozprawialiśmy o niej wielokrotnie i zawsze chłopcy klęli z pasją. Obaj z „Saszą" poczuwaliśmy się do winy, toteż dla rozładowania nastroju kolejny wypad na tory musiał wkrótce nastąpić.

— Jak z trotylem? — zainteresował się „Boleszczyc".

— Nieźle, starczy — odparłem, zerkając na „Saszę", który ruchem głowy potwierdził moje słowa.

Wiedziałem, co ma w zapasie. Oprócz przyniesionych kostek, już raz władowanych do ziemi, znalazły się nowe. „Sasza" miał głowę na karku, nie przegapił okazji, gdy dowiedzieliśmy się, że w rozbitym taborze partyzanckim w Majdanie Sitowieckim znajduje się trotyl. Pod jego dowództwem grupa naszych chłopców spenetrowała porzucone wozy i wróciła z tym, czego poszukiwano. Na widok dwudziestokilogramowej skrzynki uściskałem ich, ale teraz wydłużyła mi się nieco mina.

— W takim razie musisz mi odstąpić część zapasu — powiedział „Boleszczyc". — My też planujemy w najbliższym czasie akcję, a zostało nam dwanaście kostek. Sam rozumiesz, że to za mało. Parowozu nie weźmie, a skoro tak, to tylko zdemaskujemy swoją robotę. Właśnie po to do ciebie przyszedłem.

— Wiedziałeś?

— Nie, domyślałem się, bo masz minera, a oni zawsze troszczą się o „mydło". Potrafią wykombinować spod ziemi. Powiem ci uczciwie, „Pilot", to nie rozkaz, to prośba. Spodziewamy się dostawy w najbliższym czasie, wtedy wyrównam dług z nadwyżką.

— Słowo?

— Słowo! Zawiodłeś się kiedy na mnie?

Ja na nim, też pytanie! Zrobiło mi się trochę głupio. Podlegałem przecież „Boleszczycowi", trotyl nie był prywatną własnością oddziału, służył do jednego celu. Nie miałem po prostu prawa mu odmawiać. Zgodził się ze mną „Sasza", bardzo zazdrosny o każdą kostkę. W dobre ręce przekazaliśmy ładunek. Jeden pociąg więcej to nasz wspólny sukces.

„Boleszczyc" spędził noc razem z nami, w sza-

lasie, a nazajutrz wyruszył do swojej bazy, niosąc w torbie pięć kilogramów trotylu. Eskortowało go dwóch moich chłopców, którzy po drodze mieli zorganizować podwodę. Pieszy marsz z takim „towarem" był niebezpieczny, na wozie, w słomie lub sianie, można go było łatwiej ukryć.

Dzień zleciał mi na analizowaniu ostatnich informacji od kolejarzy, dostarczonych przez „Skoczka". Chłopak znowu spisał się bez zarzutu, ale ja znalazłem się w kropce. Wiadomości były sprzeczne, wymieniano co najmniej trzy różne godziny przejazdu pociągu z ważnym ładunkiem wojskowym. Która była prawdziwa? A może hitlerowcy, obawiając się naszego wywiadu, celowo „zdradzają" różne czasy? Chytry pomysł, siać ich na to. Sami wiedzą, co i jak, a na zewnątrz upłynniają informacje fałszywe. Brałem też pod uwagę drugą ewentualność: wszystkie czasy są prawdziwe. Przecież widzieliśmy taki potokowy ruch pociągów na trasie, szły jeden za drugim, w niewielkiej odległości, a potem następowała długa przerwa, trwająca nawet do rana. Więc jak? Gdzie leży klucz do zagadki? Trudny dylemat musiałem rozstrzygnąć sam. Obowiązywała zasada, że przed akcją wie o niej tylko dowódca i jego przełożony — w tym przypadku „Boleszczyc" — natomiast w dniu wymarszu wtajemniczało się jeszcze kilku partyzantów i dopiero w rejonie obiektu, czyli już na miejscu, ujawniano przed całym oddziałem cel przybycia. Nie było to podyktowane brakiem zaufania, lecz żelazną koniecznością zachowania tajemnicy. Konspiracyjna działalność zmuszała do takich rygorów. Każdy powinien wiedzieć tylko tyle, ile musiał w konkretnych warunkach i czasie. Byliśmy przecież ciągle zagrożeni przez wroga. Jeden nierozważny krok i nieszczęście gotowe. Hitlerowcy mieli sposoby na wydobywanie wiadomości, docierały do nas te wieści, budząc grozę. Zamek w Lublinie, gdzie „urzędowało" gestapo, miał już swoją ponurą historię, katowano tam ludzi na śmierć.

Po dwóch dniach, ciągle korzystając z pomocy „Skoczka" i „Szerszenia", złapałem wreszcie właściwy czas. Tym razem wiadomość była pewna. Transport ze sprzętem miał być na wysokości wsi Tuligłowy ósmego maja o godzinie 23.15, kierując swój bieg na wschód. Nadal brałem pod uwagę rejon tej wsi, ponieważ znaliśmy już dobrze jego topografię, a wysoki nasyp gwarantował spotęgowanie skutków eksplozji. Nic też nie wskazywało na to, żeby Niemcy zorientowali się, że już tam kiedyś byliśmy.

Tego dnia po południu wezwałem do siebie Bolesława Niziola — „Żurawia" i poinformowałem go o planowanej akcji. Nie zdziwił się, bo ciągle mówiliśmy o „kolejówkach", jakby dla rozgrzewki, choć nikt nie wiedział, kiedy i dokąd wyruszymy.

— Tam, gdzie wtedy — powiedziałem. — Pójdziesz sam. Czas obserwacji od osiemnastej do dwudziestej drugiej, to znaczy do naszego przybycia. Żadnych kontaktów w drodze. Obserwację prowadź z ukrycia w odległości pół kilometra od toru. Zwracaj uwagę na wszystko...

„Żuraw" przerwał mi, zadanie nie było dla niego nowością.

— Rozumiem, komendancie — zapewnił. — Oczy mam dobre, żaden szwab mi nie ujdzie. To znaczy, że coś wysadzimy? — dodał, mrużąc lewe oko. — No, to ładnie. Oni sobie jadą, a my ich po pysku. Hakiem, żeby poczuli, kto bije. To mi się podoba!

Po jego odejściu postawiłem chłopców na zbiórce. Domyślali się, że czeka ich poważna robota, poważna to znaczy niebezpieczna, lecz przynosząca wiele męskiej satysfakcji. Nie na darmo nosili broń i uczyli się nią władać. Na ich twarzach, już ogorzałych po kilku dniach pełnego słońca, malował się wyraz zniecierpliwienia. Chcieli wiedzieć, dokąd idziemy. Milczałem jednak w tej kwestii, czego nie powinni mi brać za złe.

— Kto przygotuje podwody? — zapytałem. — Na pełny stan oddziału, bo wyruszamy wszyscy.

Zgłosiło się na ochotnika aż pięciu. Znali teren i gospodarzy, toteż z tej strony nie oczekiwali żadnych trudności. Wysłałem tylko trzech. Na pewno wystarczy. Poszli bez broni, żeby nie wywoływać zainteresowania wśród mieszkańców wsi. A nuż trafi się tam ktoś obcy...

Słońce chyliło się nad horyzont, gdy zajęliśmy miejsca w wozach. Osobiście skontrolowałem rozmieszczenie chłopców na każdym, żeby przemieszać nowicjuszy ze starymi wyjadaczami, bo mieliśmy skład świeżo skompletowany. Usiadłem przy woźnicy na pierwszym i — w drogę.

Najpierw pod górę do ostrzyckiego lasu, a potem polnym gościńcem do Latyczowa. Zapadł mrok. Jechaliśmy powoli, aby nie męczyć koni. Czasu było jeszcze sporo. Z nudów gwarzyliśmy

o różnych sprawach, nie przerywając ani na moment obserwacji. Panujący spokój i cisza nie mogły uśpić naszej czujności. Rozgadał się też „Sasza", wspominając swoją przeszłość. Zazdrościł nam, że możemy walczyć na własnej ziemi, blisko domów i rodzin. Jego matka mieszkała aż za Moskwą, ogromny szmat drogi. Był jedynakiem. Pożegnał ją w czterdziestym pierwszym roku, powołany do wojska po wybuchu wojny, i od tej pory nic o niej nie wiedział. Rozumieliśmy jego rozterkę. Twardy chłopak, odważny, ambitny, ale czasami — zwłaszcza wieczorem, gdy siedzieliśmy przy ognisku — oddalał się od nas myślami. Milczał, spoglądając gdzieś w dal, jakby przywołując w pamięci obrazy z dawnych lat. Nikt mu wtedy nie przeszkadzał, potrafiliśmy uszanować jego tęsknotę, jego przywiązanie do rodzinnych stron, do przyjaciół, którzy walczyli na froncie i na tyłach.

Droga zleciała jak biczem strzelił. Przed nami Latyczów, a z boku Tuligłowy. „Skoczek" bez rozkazu poszedł na zwiad, wozy stanęły w polu obok niewielkiego zagajnika. Sytuacja, jak dotąd, układała się pomyślnie. Nic nie mąciło ciszy w leżących opodal wsiach, nie szczekały nawet psy, które hałasują na widok obcych ludzi. Z miny „Skoczka", który powrócił niebawem, wywnioskowałem, że wszystko jest w porządku. Kiwnął tylko głową, bo nie miał nic do dodania.

— Będziecie tu na nas czekać — zwróciłem się do gospodarzy, którzy prowadzili podwody. — Wrócimy... No, na pewno jeszcze w nocy. Bez nas nie możecie odjechać.

— A co mi tam — mruknął któryś, ładując się w słomę. — Do rana mogę stać. Przynajmniej raz bez starej rozprostuję gnaty.

Odeszliśmy kilkadziesiąt metrów i dopiero tu, w szczerym polu, powiedziałem, co będziemy robić. „Oby się tylko udało" — usłyszałem w ciemności czyjś głos.

Przed nami znany odcinek drogi, choć w śniegu wyglądał zupełnie inaczej. Biel przybliżała kontury wsi i drzew, a teraz wszystko tonęło w mroku. Niebo było pochmurne, tym lepiej dla nas. Zwiad ruszył pierwszy. Chciałem jakoś pocieszyć „Skoczka", który miał już w nogach kawał drogi, ale nie dopuścił mnie do głosu. Trącił tylko „Szerszenia" i powiedział:

— No, to zapychamy, nie wpadnij mi do rzeki, bo ja nie lubię kąpieli w portkach.

Poszliśmy za nimi, gdy zginęli w ciemnościach. Wieprz szumiał z daleka. Wezbrane wody przelewały się przez prawy brzeg, lewy górował kilkumetrową skarpą. Zaczynamy szukać kładki, zwalonego pnia, który napędził nam tyle strachu poprzednim razem. Wydawało mi się, że odnajdę ten punkt bezbłędnie, ale pomyliłem się. Musieliśmy bezwiednie zmienić kierunek marszu o jakieś trzysta metrów w prawo od kłody. Pierwszy dostrzegł ją Władysław Nizioł, leżała na lustrze wody, a chwilami przykrywały ją większe fale. Nieźle, psiakrew! Jak tu przejść na drugi brzeg? Ochotników nie ma, więc próbuję pierwszy, trzymając „pepeszę" nad głową. Śliski pień ucieka spod nóg, rwąca woda utrudnia utrzymanie równowagi. Trzeba iść bokiem, choć to też niełatwo.

Dwa razy podsięło mnie, zachwiałem się i sam nie wiem, dlaczego nie runąłem do rzeki. Na drugim brzegu poczułem się jak Kolumb po odkryciu Ameryki.

Przeprawa trwa dłużej, niż zakładałem. Nic dziwnego, ale żałuję, że nie wziąłem tego pod uwagę w mojej kalkulacji czasu. Najważniejsza część zadania dopiero przed nami. Trudno, trzeba improwizować. Pozostawiam po „suchej stronie" czterech ludzi: Kazimierza Bartnika, Stefana Jasińskiego, Andrzeja Dubaja i Władysława Nizioła. Mają ubezpieczać nasz odskok z torów. Decyzja przypadła im do gustu, wcale tego nie ukrywają. Nie każdy potrafi być cyrkowcem.

Na czele przeprawionych przyspieszam marsz. Jak na złość odpływają chmury, z jaśniejszego nieba sączy się mdły blask. Denerwuje nas spuchnięta gęba księżyca, który dopiero teraz pojawił się w górze w towarzystwie gwiazd. Do diabła z taką iluminacją! Walimy środkiem kwitnącej łąki, wysoka trawa szeleści pod butami. Z lewej, na wzgórzu, Krasnystaw oddalony o sześć kilometrów. Z prawej znacznie dalej majaczył lasek Wólki Orłowskiej. Przed nami, w kierunku wschodnim, nasyp toru kolejowego. Nad polami, jak okiem sięgnąć, płaty przyziemnej mgły, wypiętrzonej w wielu miejscach. Dekoracja, owszem, malownicza, ale wolałbym zupełny mrok. Wyboru jednak nie mam, skoro już tu jesteśmy.

„Żuraw" dostrzega nas pierwszy, podbiega do mnie.

— Podczas obserwacji nic szczególnego nie zauważyłem — melduje cichym głosem. — Kilka

razy przejeżdżały szosą samochody w obie strony. Ostatni pół godziny temu. Żaden nie zatrzymywał się...

— A na torze? — pytam.

— Dwa pociągi towarowe jadące ze strony Krasnegostawu. Jeden pchał przed lokomotywą platformę z workami, chyba piasek. Pierwszy raz coś takiego widziałem. Po co oni to robią?

— Wot, priedumali Giermańcy! — mruknął stojący obok „Sasza", który w przypływie gniewu mówił wyłącznie po rosyjsku.

Czyżby znowu klapa? Wagon z piaskiem ubezpieczał lokomotywę przed wybuchem. Pierwszy wjeżdżał na zaminowany tor, powodując przedwczesną eksplozję. Ulegał zniszczeniu, ale ratował pociąg, a o to Niemcom chodziło. Naprawa pękniętej szyny i wyrwanych podkładów to już mniejszy kłopot.

Co robić? Nie przewidzieliśmy tego. „Sasza" nie wziął ze sobą zapalników zawleczkowych i sznura, a tylko one mogły spowodować kontrolowany w czasie wybuch. Miner przepuszczał wagon-pułapkę i pociągał za sznur, gdy parowóz wjeżdżał na ładunek trotylu. Nic prostszego pod słońcem, ale sęk w tym, że takich zapalników nie mieliśmy pod ręką. Sznur od biedy można było znaleźć u chłopów, choć zabrałoby to nam trochę cennego czasu. Lepszy byłby elastyczny cienki drut lub kabel telefoniczny. Na przyszłość postaramy się na pewno, ale teraz?

Spoglądamy wszyscy na „Saszę". On jest fachowcem, może coś podpowie. Stoi pochmurny i coś rozważa, licząc kostki trotylu. Czas ucieka.

A może „nasz" pociąg nie będzie miał wagonu-pułapki — próbuje się pocieszać.

— Idziemy, komandir! — rzuca wreszcie.

— Dasz radę?

— Dam! — odpowiada stanowczym głosem, a ja już nie pytam o szczegóły, bo one w tej chwili nie mają znaczenia. On lepiej wie, co trzeba zrobić, żeby dobrać się do lokomotywy.

Szybko wyznaczam ubezpieczenie: „Burak", „Sokół" i „Pawełek" w lewo; „Stary", „Cebula" i „Brzoza" w prawo. Zadanie znane. Omawiałem je dokładnie z wszystkimi po nieudanej akcji. Nowych elementów nie przewiduję, sygnalizacja bez zmian. Salutują i biegną w swoich kierunkach. Reszta partyzantów, jak poprzednio, zalega w dużych odstępach na mokrej łące. Wtedy był śnieg i od ziemi ciągnął przenikliwy chłód, a teraz można się ułożyć na miękkiej, choć nieprzyjemnie wilgotnej trawie.

Czekam chwilę, aż ubezpieczenie zajmie stanowiska, i daję znak „Saszy". Wdrapujemy się na nasyp, pomagając sobie rękami. Wydaje mi się, że ta wspinaczka trwa za długo, ale to tylko złudzenie. Zegarek nie kłamie. W śniegu szło nam znacznie gorzej.

Już jesteśmy na torze. Ukradkiem rzucam okiem na okoliczne pola, przystrojone płatami mgły. Urzekający widok, jakby natura nic sobie nie robiła z wojny. Czy tak jest naprawdę?

„Sasza" przebiega kilka metrów i klęka na prawe kolano. Powtarzam automatycznie jego ruchy. Razem dobieramy się do kamieni. Nawet nieźle to idzie, mimo że pracujemy gołymi rękami. Oby

tylko dołek nie był za głęboki, ale „Sasza" mruczy pod nosem i zaciska szczęki, więc o nic nie pytam. Kopiemy dalej, wydłużając rowek pod szyną. Nie wiem, co ten chłopak kombinuje. Poprzednio drążyliśmy inny dołek. „Sasza" podnosi się, ocenia wzrokiem robotę i sięga do torby. Trotyl idzie do ziemi. W ostatnią kostkę zagłębia się zapalnik. To najważniejszy moment, wymagający zegarmistrzowskiej precyzji. Patrzę na zegarek — do przejazdu pozostało dokładnie osiemnaście minut. Maskujemy ładunek i bez pośpiechu — to też próba nerwów — opuszczamy nasyp. Razem z nami opuszczają swoje stanowiska chłopcy z ubezpieczenia. Na torze nie mogą pozostać, dołączają do kolegów ukrytych w wysokiej trawie.

Położyłem się na wprost miejsca, gdzie znajdował się ładunek. „Sasza" obok mnie. Czekamy. Zniecierpliwieni partyzanci czołgają się w naszą stronę. Chcą wiedzieć, czy tym razem dopniemy swego. Wagon-pułapka zakłócił wszystkim spokój, oczywiście umowny, bo tak czy inaczej bylibyśmy zdenerwowani. Dywersja na torach to jeden z najtrudniejszych sprawdzianów odwagi. Sam nie wiem, jak to będzie, a „Sasza" milczy. Marszczy czoło i nic nie mówi. Taki pewny siebie, czy nie chce nam do reszty psuć nastroju?

Spoglądamy w stronę Rejowca i Żulina, bo stamtąd nadjedzie oczekiwany pociąg. Ciągle jeszcze panuje cisza, żadnego szelestu, żadnego powiewu, nic. Tylko księżyc spogląda na nas z góry, jakby zaciekawiony, co tutaj robi gromada uzbrojonych ludzi. Wsłuchujemy się z coraz większą emocją i nagle w tę ciszę wdziera się jakiś

dźwięk. Z daleka coś pomrukuje rytmicznie, mocniej i słabiej, ale głos nie milknie. Jeszcze minuta, dwie i nie mamy wątpliwości — to sapie lokomotywa.

— Jedzie! Słyszycie, jedzie!

Któryś z chłopców nie wytrzymał i chciał wystąpić w roli odkrywcy. Inni przywołują go do porządku. Gadanie, wszyscy słyszymy, że jedzie, więc po co ten krzyk! W Krasnymstawie pociąg zatrzymał się. Nie widzimy tego, lecz odgadujemy po zmieniającej się tonacji szmerów, które stopniowo ucichły. Kontroluję czas według tego, który ustalił nasz wywiad. Zgadza się, kilkuminutowe opóźnienie nie gra poważniejszej roli. Wprowadzam oczywiście poprawkę z wyprzedzeniem, bo dla nas ważny jest moment, kiedy pociąg znajdzie się na nasypie, w miejscu podłożenia trotylu.

Ruszył. Przybliża się. Słychać już szczęk metalu i głuchy oddech ciężko pracującej lokomotywy. Chyba przyspiesza, co sygnalizuje powtarzający się trzask zderzaków i stukot kół. Wytężamy wzrok, już go widać. Pióropusz dymu wali w górę, a niżej rosnąca w oczach plamka z dwoma punktami przyćmionych świateł. To przód lokomotywy, dziwny jakiś, płaski i nieforemny. Rzucam spojrzenie na „Saszę", może to złudzenie.

— Wagon z piaskiem — mówi, rozwiewając moje wątpliwości.

Więc jednak! „Żuraw" miał rację. Wszystkie ważniejsze transporty zabezpieczano w ten sposób. Nie odrywam wzroku od pociągu, który rzeczywiście zwiększa prędkość. Nie wiem, czy to lepiej czy gorzej? Śledzę ten ruch, próbuję okreś-

lić długość składu i raptem mrok pęka w nagłym rozbłysku. Potężna detonacja odbija się echem w nieruchomym powietrzu. Czuję, jak ziemia drży i bezwiednie, z emocji, wciskam twarz w trawę. To po prostu odruch, o którym zapomina się w następnej sekundzie.

Na torze jeszcze dudni i zgrzyta, syczy stężona para i blask ognia tańczy po nasypie. Wagon-pułapka leży kołami do góry, zrzucony siłą eksplozji parowóz wrył się przednią częścią kotła w miękki grunt, obok niego dwie spiętrzone platformy i jakieś kłębowisko potrzaskanych desek, pogiętych ram, rozwalonych skrzyń i czort jeden wie, czego jeszcze. Rejestruję to wszystko w pamięci i dopiero po chwili dociera do mnie krzyk Niemców. Rozbiegli się po torze, stłoczyli przy rozbitym parowozie i resztkach wagonów. Świecą latarkami, gestykulują, przeklinają. Zgiełk i chaos nie do opisania.

Nic tu po nas. Trzeba jak najszybciej zwiewać, dopóki jeszcze nie ochłonęli. Swoje zrobiliśmy, strzelać nie będziemy, bo oni mają przewagę. Widziałem, ilu ich wysypało się z ocalałych wagonów. Dziwne, że nie otworzyli jeszcze ognia. Boją się, widać, partyzantów. Nie mają pojęcia, co kryje mrok.

— Pojedynczo do tyłu! — rzucam komendę.

Chłopcy czołgają się w trawie i raz po raz śmigają ich sylwetki, zrywające się do popisowego biegu. Czekam na ostatniego i sam opuszczam swój punkt obserwacyjny. Nikt nas nie ściga, jesteśmy niewidoczni na ciemnym tle łąki w przeciwieństwie do Niemców, którzy biegają z latarkami.

Zbieramy się nad brzegiem Wieprza. „Sasza" przyjmuje gratulacje. Porozmawiamy później, jak on to zrobił. Teraz jak najszybciej trzeba się przeprawić po kłodzie. O dziwo, nikt nie zdradza obaw. Chłopcy są poruszeni i uradowani, czują się dumni. Rzeka? Co za problem — zdają się mówić ich twarze. Bartnik z drugiej strony nie ukrywa podziwu dla ich zręczności. Walą śmiało, jeden po drugim, jakby od dawna trenowali na równoważni. Sam także dokonuję tej sztuki.

— Co tu się działo? — pytam Władka Nizioła, który dowodził ubezpieczeniem.

— Tu? Nic, zupełny spokój — odpowiada. — A u was?

— Nie słyszałeś?

— No, wiesz — dziwi się. — Nieboszczyka poruszyłoby w trumnie. Huk na kilometry i ogień. Prawie łuna na niebie. Dosoliliście im zdrowo!

— Ano, jak zasłużyli — wtrąca „Szerszeń".

Przerywam rozmowę. Musimy się śpieszyć. W ciszy maszerujemy do miejsca postoju naszego taboru. Dwa razy mylimy drogę. Co jest do licha! Ciągle jeszcze podniecenie, czy ten plener „od tyłu" tak nas dezorientuje. Utrwalone w pamięci zagajniki i pojedyncze drzewa jakby zmieniły swoje położenie, pojawiają się w zupełnie innych miejscach.

— „Szerszeń" — zwracam się do naszego zwiadowcy. — Rusz głową, gdzie twój kompas!

— Już się robi, komendancie — odpowiada krótko.

Staje, kręci głową, chwilę myśli i bez wahania wyciąga rękę.

— Tędy! Ja prowadzę.

Idziemy za nim jak w dym. Prowadzi nas miedzą, której przedtem nie widziałem, potem przez kartoflisko i po piętnastu minutach jesteśmy na drodze. Skręt w prawo, pół kilometra marszu i jego głos:

— O, stoją nasze karety. Ja miałbym zbłądzić...

Fakt, nigdy mu się to nie przytrafiło. Na otwartej przestrzeni to jeszcze pół biedy, ale on nawet w obcym lesie, w zupełnym mroku, nie tracił orientacji. Ogromnie ceniliśmy tę jego zaletę czy umiejętność, choć on sam nigdy nie zdradził nam sekretu, skąd ona się bierze. Urodził się pod szczęśliwą gwiazdą czy jak? — zastanawiali się nieraz chłopcy.

Ładujemy się na wozy. Chłop z pierwszej furmanki, gdzie usadowiłem się ze „Skoczkiem" i „Saszą", spogląda na nas, coś w sobie waży, kiwa głową i mówi nieśmiało:

— Aż wóz zabrzęczał, jak łupnęło. Sam się przestraszyłem. Spokój, ciemno, spać się chce i tu nagle taki piorun. No, no, kto by się po was tego spodziewał. Mają te przeklęte Adolfy za swoje!

— I wy się trochę do tego przykładacie, ojczulku — pochwaliłem go. — Chociażby tym, że nas wieziecie.

— Co tam jazda. Na taką robotę jeszcze raz mogę się z wami wybrać. Człowiek wie, że żyje, że coś się dzieje...

— A dzieje się, prawda — dorzucił „Skoczek". — Będziemy ich lać, ile sił starczy. Skończył się czas bezkarności, za wszystko będą musieli zapłacić.

Jedziemy polnym traktem, z obu stron kłaniają się nam wierzby. Pachnie zaoraną ziemią i końskim potem. Korci mnie, żeby zapytać „Saszę", jak udało mu się wywalić parowóz, ale nie mogę o tym mówić w obecności woźnicy. Swój chłop wprawdzie, tutejszy, lecz mamy swoje zasady. Tajemnica obowiązuje. Z tyłu podbiega Bartnik i proponuje posiłek. Nigdy, jak widać, nie zapomina o swojej roli kwatermistrza.

— Masz coś? — pytam naiwnie.

— Nie, ale tu obok, w Widniówce, mieszka Jarocki, bogaty chłop. Znam go, coś nam na pewno zafunduje.

Widniówka to mała wieś, dawno w niej nie byłem. Waham się chwilę, a Bartnik dodaje:

— Mieszka na uboczu, w dużym sadzie. Drzewa, zarośla, w sam raz dla nas. Wozy ukryjemy. Jedziemy?

— Dobrze, prowadź!

Bartnik wskakuje na furmankę. Na samą myśl o jedzeniu „Skoczek" uśmiecha się szelmowsko. Ma żołądek nie od parady, bochenek chleba wrąbie za jednym posiedzeniem i jeszcze się ogląda. Kto jak kto, ale on repetę musiał dostać przy kotle. Inna rzecz, że ostatnio marnie karmi nas Bartnik. Kartoflanka z kapustą, kasza, kawałeczek mięsa na ząb. Trzeba koniecznie to zmienić. Chodzimy ciągle głodni, a to wcale nie sprzyja dobremu nastrojowi. W liegenschaftach żarcia mają dosyć, starczy i dla nas.

Skręcamy z traktu. Dom Jarockiego otoczony jest wieńcem owocowych drzew, prawie go nie widać. Daleko z prawej uginają się ze starości

nędzne chałupy, kontrast aż kluje w oczy. Czy tak musi zawsze być?

Zdumiony Jarocki nie wie, czemu ma zawdzięczać nocną wizytę. Gdy wyjaśniamy mu, że to my jesteśmy sprawcami wybuchu i wysadzenia pociągu, uśmiecha się szeroko i zaprasza wszystkich na obszerne podwórze. W lot zjawia się bańka maślanki, ser i kilka bochenków chleba ze świeżego wypieku.

— Nie dość, że nie dajemy spać ludziom, to jeszcze nas częstujecie — żartuję.

— A takim jak wy to warto — mówi szczerze. — Przecież naprawdę walczycie. Strach mnie obleciał, gdy usłyszałem ten grzmot. W domu zrobiło się widno, graty podskoczyły. Żona powiada: „koniec świata", a ja jej na to: jaki tam koniec, głupia. Partyzanci most albo pociąg posłali do nieba. Wyskoczyłem zaciekawiony z domu, ale łuna zgasła. To gdzieś tam było — pokazuje ręką.

— Nie, z tej strony — poprawia „Żuraw" ruchem głowy. — Echo was zmyliło. W nocy tak bywa.

Posiłek dobrze nam zrobił, poprawiły się humory. Wsiadaliśmy na wozy jakby odmłodzeni. Tylko „Skoczek" mruczał ponuro: „Taki bogacz i z maślanką wyjechał, a słoninę to na pewno chowa". Trochę w tym racji jest, ale jakoś nie wypada kręcić nosem.

Jarocki odprowadza nas aż do drogi, jego pies, wielki i kudłaty, biega wokół wozów i obwąchuje konie. Już nie szczeka, chociaż jest wyraźnie zaniepokojony widokiem naszej karawany. Żegnamy się przyjaźnie.

— Wszelkiej pomyślności, panowie — mówi Jarocki, podając mi dłoń. — Więcej takich akcji. Chyba was jeszcze usłyszę.

— Na pewno — odpowiadam. — Dziękujemy za posiłek.

Droga zaczyna się dłużyć. Ten i ów ucina drzemkę, mimo że kategorycznie tego zabroniłem. Zerwany ze snu człowiek jest z zasady półprzytomny, musi upłynąć chwila, zanim dojdzie do siebie. A ta chwila decydowała często o naszym życiu.

Na skraju mamulskiego lasu zwalniamy podwody i ostatni odcinek drogi do wsi Piaski Szlacheckie pokonujemy marszem pieszym. Trzeba trochę rozruszać kości. Na wschodzie rozpala się łuna brzasku, gwiazdy bledną na niebie. Część chłopców udaje się na kwatery, reszta idzie ze mną do leśnego biwaku. Tam odpoczniemy. Przygotowane „materace" zapraszają do snu. Wyznaczam wartę i dopiero teraz, gdy chłopcy walili się na gałęzie, „Sasza" tłumaczy mi, jak spowodował wykolejenie parowozu. Wydłużył rowek — co mnie tak zdziwiło — i wpakował cały zapas trotylu, podwójną porcję w porównaniu z „normalną". Spodziewał się, że wskutek zwiększonej siły wybuchu poderwany wagon-pułapka pociągnie za sobą lokomotywę, a ta z kolei kilka następnych wagonów. Ładunek był pod lewą szyną, wagon musiał więc wyskoczyć bokiem, pochylony, przenosząc ten kierunek energii na lokomotywę. Moment utraty równowagi oznaczał spadek z nasypu.

— No i poszła — zakończył, klepiąc się po kolanach.

— Powiedz mi szczerze, byłeś tego pewien?

— Nie, nie byłem — przyznaje otwarcie. — Tak sobie obliczyłem i wydawało mi się, że nie popełniam błędu. Żałuję tylko trotylu, dwa pociągi można było wysadzić, a tak jeden do zera...

Od rana, po krótkim odpoczynku, uruchomiłem zwiad. Ogromnie ciekawiły mnie skutki eksplozji. Widzieliśmy sporo na miejscu, ale na pewno nie wszystko. Ludzie we wsiach już popuścili wodze fantazji. Cieszyliśmy się z tego, niech mówią, niech mnożą straty, to bardzo pomaga i podtrzymuje wiarę w zwycięstwo, lecz nas interesowały informacje ścisłe, konkretne. Uzyskano je od kolejarzy i samych Niemców, oczywiście dyskretnie. Bilans akcji był następujący: wykolejony i zniszczony parowóz, sześć wagonów rozbitych, kilka uszkodzonych. Zginęło ośmiu żołnierzy i dwóch oficerów, liczby rannych nie udało się ustalić, chociaż musiała być znaczna. Z rozbitych wagonów stoczyły się dwa działa, nadające się do remontu. Przerwa w ruchu trwała dziewięć godzin. Wraki wagonów ściągnięto, lokomotywa „odpoczywała" nadal pod nasypem. Odetchnęliśmy po uzyskaniu tych wiadomości — akcja była w pełni udana.

*

Trzy dni przerwy, jeśli nie liczyć wypadu do liegenschaftu. Zirytowany Bartnik, gdy mu chłopcy wygarnęli, że jak tak dalej pójdzie, to trzeba będzie „wędrować z torbą na dziady", rąbnął miską w ziemię i powiedział — dosyć! W sześciu

z wozem ruszyli w teren i przywieźli kilka worków makaronu, smalec i trochę wędzonej ryby. „Skoczek" po drodze spróbował. „Słona, ale jeść się da" — zawyrokował. Próbka musiała być solidna, bo po powrocie śniadania nie tknął, biegając tylko do studni po wodę. Makaron i ryba, w dodatku wędzona, wymagały normalnie pewnej wyobraźni przy jedzeniu, lecz nam, wygłodzonym, było wszystko jedno. Lepsze już to niż wodnista kartoflanka z liśćmi kapusty bez odrobiny tłuszczu.

Mamy sygnał o kolejnym transporcie, którym warto się „zaopiekować". Trzy dni to krótki odstęp czasu, tym bardziej że hitlerowcy szaleją. Zwiad melduje o licznych patrolach kolejowych i drogowych, wielokrotnie wybuchała strzelanina. Nie wiemy, kto do kogo otwierał ogień, czy były ofiary. Coraz częściej rewidowane są furmanki. Ryzyko duże, ale wydaje mi się, że nie jesteśmy bez szans. Niemcy przypuszczalnie wykluczają możliwość dokonania dywersji po trzech dniach w tym samym miejscu. Po wtóre chcemy im udowodnić, że już nie zaznają spokoju na naszych ziemiach, gdy ze wschodu zbliża się front. Jeden pociąg to za mało, musimy ich zniszczyć więcej!

Rano wysyłam „Żelaznego", żeby osobiście sprawdził, co się dzieje w Tuligłowach. Spodziewam się jego powrotu w południe, a więc czasu na przygotowanie akcji będziemy mieli sporo. „Sasza" ćwiczy na rozbrojonym zapalniku zawleczkowym działanie kabla. Już nas Niemcy nie nabiorą na wagon-pułapkę. Oglądamy z ciekawością te jego próby. Wyjdzie, nie wyjdzie? Wy-

chodzi! On jednak ciągle marudzi. Ni stąd, ni zowąd „zamawia" kilka metalowych klamer w kształcie litery „U" z wydłużonymi, ostro zakończonymi ramionami. Tylko kowal może coś takiego zrobić.

— Po diabla ci to potrzebne? — pytam zdziwiony.

— A jak poleci kabel z nasypu? Przecież będziemy w dole, w powietrzu go będę ciągnął czy co! Musi być zamocowany, aby trzymał się ziemi. Poniatno?

Rzeczywiście, ma rację. Posyłam jednego z naszych nowicjuszy do kowala, to jego pierwsze zadanie „bojowe". Idzie dumny jak paw, nie bacząc na uśmiechy kolegów. Z tym kablem też mieliśmy niezłą zabawę. „Sasza" powiedział krótko: „sto metrów sznura". Więc chłopcy ruszyli na łowy do gospodarzy. Wrócił pierwszy, przynosząc zwój sznura papierowego, taki okupacyjny „ersatz". „Sasza" wziął kawałek w dłonie, szarpnął mocno i — przepędził chłopaka na cztery wiatry. Sznur pękł z trzaskiem. Pójść z taką namiastką na tory to kpina z saperskiej roboty. Przyszedł drugi, niosąc na grzbiecie ciężki powróz, mocno spleciony i gruby na dwa palce. „Sasza" aż usiadł ze śmiechu. „Takim sznurem możesz byki wiązać na pastwisku, a nie zapalnik zwalniać!" — wytłumaczył mu z przekąsem. Przyszli następni i — nic. Wszystko do chrzanu. Głupia sprawa, sznur, a tyle kłopotu. Stanęło w końcu na tym, że trzeba wykombinować kabel telefoniczny, elastyczny, cienki i mocny. Łatwo powiedzieć, ale gdzie go znaleźć? Ktoś podpowiedział, żeby zdjąć ze słupów. Znalazł się nawet amator takiej wspinaczki. Wywindował się prawie do połowy i — zjechał z krzykiem, kalecząc dłonie i stopy. Bez kolców ani rusz, a tych nie mieliśmy. Przypadkowo zrobiła odkrycie jedna z naszych sanitariuszek. Pewien gospodarz z Piasków Szlacheckich wykorzystał kilkadziesiąt metrów kabla telefonicznego do zamocowania słupków w płocie. Natychmiast posłałem „Szerszenia" i — kabel zmienił właściciela. Nie wiem, jak ten chłopak dogadał się z gospodarzem. Nasze pytania zbył krótkim „chcieliście, to macie". „Sasza" dopiął więc swego. Miał wreszcie i drut, i klamry. Jeszcze raz urządził sobie ostry trening, oświadczając, że teraz wszystko gra.

Nie grało, niestety, w terenie. „Żelazny" wrócił w ponurym nastroju. Wziąłem go na bok, aby dokładniej zrelacjonował wyniki obserwacji.

— Sytuacja paskudna — wyrąbał na początek. — Od Krasnegostawu do mostu w Wólce Orłowskiej kręcą się po torze Niemcy i to nie bahnschutz, lecz żandarmeria z psami. Ruch samochodów raczej normalny, jak zawsze, ale na moich oczach jeden z nich zatrzymał się przy przejeżdżającej w przeciwnym kierunku furmance. Niemcy doskoczyli do chłopa, zrewidowali jego i wóz. Z nasypu zbiegli w tym czasie żandarmi coś tam wykrzykując. Myślałem, że skończy się gorzej, lecz w końcu furmanka odjechała. Patrolowanie trwa od dwóch dni do zmroku, jak mi powiedzieli we wsi. Czy później schodzą z toru, nie wiem. Nikt mi nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

Chciałem ten problem rozważyć z „Boleszczy-

cem" lub „Cyganem", lecz obaj, niestety, byli nieuchwytni. Ulotnili się ze swoich baz i domyślałem się, co robią w terenie. Znowu więc decyzję musiałem podjąć sam, a nie przychodziła mi ona tym razem łatwo. Chłopców miałem pewnych, odważnych, ofiarnych, dlatego nie wolno mi było narażać ich na zbyt duże ryzyko. W razie zaskoczenia walczylibyśmy, lecz to żadna sztuka wytracić ludzi w nierównym starciu. Wróg tylko czeka na taką okazję.

Analizuję wszystkie „za" i „przeciw", aby zaraz po obiedzie, makaronowej zupie i tych przeklętych rybach, zebrać cały oddział. Chłopcy nie wiedzą, z czym wrócił „Żelazny", zakazałem mu puszczać pary z ust, ale teraz ja sam muszę odkryć karty. Nie mogę ukrywać prawdy, a ta nie jest zbyt pomyślna. Spokojnie i bez pośpiechu wyjaśniam więc, że przejdziemy wieczorem w rejon wsi Tuligłowy i Małochwieja, zorientujemy się na miejscu w sytuacji i w zależności od niej przystąpimy do dalszych działań.

— Musicie być przygotowani na dłuższy postój — dodaję na zakończenie. — Na dwa lub trzy dni gdzieś tam ulokujemy się. Noce są już dosyć ciepłe i nie zanosi się na deszcz, więc damy sobie radę.

— W to samo miejsce? — wyrywa się zdziwiony „Żuraw". — Przecież tam szwabów od cholery!

— Właśnie dlatego najpierw się rozejrzymy — uspokajam go, widząc poruszenie wśród pozostałych chłopców. — Psu w paszczę na pewno nie wejdziemy, nie ma obaw!

Czy rzeczywiście nie ma? Nurtuje mnie to py-

tanie od powrotu „Żelaznego". Wiele bym dał, żeby wiedzieć, co tam w nocy dzieje się na nasypie. Decyzja jednak zapadła. Idziemy.

Przerzut z bazy do miejsca akcji nie przynosi nic ciekawego. Wyobraźnia podpowiadała mi zasadzki i patrole, strzelałem w myślach z „pepeszy", a tu dziwny i szarpiący nerwy spokój. Przeciążone wozy skrzypią na piachu, konie ciągną z trudem, kilka razy zeskakujemy, żeby im ulżyć, i tak powoli dobijamy do celu. Zarządzam zmianę trasy na ostatnim odcinku, przejeżdżamy przez Widniówkę i docieramy do Łatyczowa. „Skoczek", jak zwykle, już był przed nami i penetrował teren. Wysłałem Władysława Borzęckiego, żeby nawiązał z nim kontakt, a sami — po uprzedzeniu chłopów, by dobrze zamaskowali swoje wozy — po piętnastu minutach ruszyliśmy jego śladem. Panowała przejmująca cisza, niebo w połowie było zachmurzone, nie podglądał nas księżyc. Noc, bezruch i rozległe łąki dodawały otuchy. Na otwartej przestrzeni czuliśmy się zawsze pewniej. Wzrok sięgał daleko i nikt nie mógł nas zaskoczyć.

Woda w Wieprzu nieco opadła, kłoda tym razem leżała nad nią. Nie musiałem zostawiać „ubezpieczenia", wszyscy przeszli na drugi brzeg. Gdzieś w połowie drogi do nasypu spotkaliśmy „Skoczka" i Borzęckiego, który był bardzo zdenerwowany i raz po raz oglądał się do tyłu, w stronę nasypu.

„Skoczek" wykazał wiele inicjatywy, zdążył już rozejrzeć się i porozmawiać z dwoma gospodarzami ze wsi Tuligłowy, których szczęśliwym trafem

spotkał. Powiedział to, co słyszałem już w południe od „Żelaznego".

— Do zmroku łażą, a później prawdopodobnie odjeżdżają samochodem do Krasnegostawu — meldował spokojnie.

— Prawdopodobnie?

— Tak myślę. Ci dwaj nie wiedzieli.

— A ja wam mówię — wtrącił zaniepokojony Borzęcki — że oni tam bez przerwy siedzą. I na nasypie, i w Tuligłowach. Wdepniemy jak krowa w bagno!

Wokół nas zebrali się partyzanci, stali tak blisko, że słyszałem ich oddechy. Słowa Borzęckiego psuły nastrój. Musiałem tu wkroczyć jako dowódca, przełamać wahania i lęk.

— Dobrze, chłopcy — powiedziałem. — Mamy teraz dwudziestą trzecią czterdzieści. O zero trzydzieści będzie przejeżdżał transport na front. Pamiętacie, dokąd zajechał poprzedni? I tego też nie puścimy! Niemcy boją się nocy, boją się nas, partyzantów. Widzieliście, że wtedy nie ruszyli w pole, nie strzelali. To są fakty. A teraz uwaga — podkreśliłem — dochodzimy do nasypu na odległość pół kilometra, zajmujemy stanowiska w odstępach piętnastu metrów i obserwujemy szosę. Broń w pogotowiu, strzelać tylko na mój rozkaz. O dwudziestej czwartej wchodzę z „Saszą" na nasyp, ubezpieczenia na torze nie będzie. „Stary" z pięcioma na ochotnika będzie nas ubezpieczał w pobliżu szosy. Odległość podam później. To wszystko. Maszerujemy!

Borzęcki podszedł do mnie i coś chciał powiedzieć, ale nie pozwoliłem. W marszu nie ma dyskusji, dyscyplina musi być. W nakazanej odległości chłopcy wachlarzem odbijają w lewo i prawo. Kładziemy się na trawie i pod krzewami. „Sasza", jak zwykle, obok mnie, dźwięcząc swoimi klamrami.

Upływają minuty, chmur coraz więcej. To dobrze, niech nawet pada. Na torze nic nie widać, pusta jest także szosa, ale już mamy pierwszego gościa. Na pełnym gazie mknie samochód osobowy. Boją się, widać, Niemcy, skoro kierowca dusi gaz do deski. Długa przerwa i znowu samochody, tym razem aż trzy ciężarówki. Mignęły i tyle. Tak nie jeżdżą patrolowe wozy. Nabieram coraz większej pewności, że nikogo na torze nie zastaniemy. Zbliża się nasz czas.

— No, walimy — trącam „Saszę".

„Stary" z pięcioma chłopakami posuwa się za nami. W odległości stu metrów od szosy zatrzymuję ich. O nic nie pytają, wiedzą, co mają robić. Rozglądam się chwilę i pokazuję „Saszy" kierunek. Widok aż serce rośnie: leżące na boku martwe cielsko lokomotywy. Dochodzimy do niej i chociaż czasu mało, nie możemy sobie odmówić przyjemności obejrzenia z bliska tego smoka. Kocioł z przodu rozwalony, zderzaki pogięte, brak pierwszej pary kół.

— Ładnie — mruczy „Sasza" — ale mogło być lepiej.

Zaglądam jeszcze do pomieszczenia maszynisty, które cuchnie spalinami i naftą. Pojęcia nie mam, skąd ta nafta, ale węch mnie nie zawodzi. W ciemności niewiele mogę zobaczyć. Wybuch musiał jednak zdemolować to ponure wnętrze.

Ukosem pniemy się na nasyp. „Sasza" od razu przystępuje do roboty, dobierając się do kamieni.

— Dam radę, pilnuj — mówi.

Idę kawałek po torze w stronę Wólki Orłowskiej. Ani śladu żywego człowieka, w drugim kierunku to samo. Szkoda, że to nie ma Borzęckiego... „Sasza" kończy, uwinął się nadspodziewanie szybko.

— Już? — pytam tonem zwątpienia.

— A co, dochodzi się do wprawy. Teraz tylko kabel i wsio!

Jeszcze raz sprawdza zamocowanie przewodu i krok po kroku wycofuje się z nasypu, wbijając w ziemię trzy klamry dokładnie na jednej osi. Drut biegnie pod nimi. „Sasza" przeskakuje drogę i kilka metrów za nią, w trawie, wbija czwartą klamrę. Spoglądam na szosę, ale drut jest niewidoczny. Nie ma obaw, żeby zerwał go przejeżdżający samochód. Odchodzimy na odległość około osiemdziesięciu metrów, dalej nie można, skończył się po prostu kabel. Trochę za blisko, lecz nic już na to nie poradzimy. Rozwinięty na ziemi kabel był dłuższy, ale nie braliśmy pod uwagę wysokości nasypu.

— Klamry zostaną — mówi z żalem „Sasza" — kabel postaram się wyciągnąć. Po zerwaniu zawleczki puści luzem, chyba że coś go przytrzyma na nasypie lub na szosie. Parowóz albo inna swołocz — dorzuca z uśmiechem.

Wierzyć się nie chce, że tak szybko to poszło. Zostawiam na moment „Saszę" i pochylony biegnę do „Starego", który z wypiekami na twarzy czeka na wiadomość. Radość wielka, chociaż to

dopiero początek. Jeden z chłopców przekazuje mój meldunek dalej, do leżącej za nami tyraliery. Muszą być przygotowani na wybuch, to ułatwia czekanie, choć z drugiej strony powoduje wzrost emocji, szybsze tętno serca. Niejeden na sam widok pociągu zamyka oczy i liczy sekundy.

Szosą znowu przejechał samochód. „Sasza" odczuł, jak drgnął mu kabel w dłoni. Gdyby ci Niemcy wiedzieli, co im tutaj przygotowaliśmy! W złą chwilę chyba o tym pomyślałem, bo oto znowu pojawiają się dwa wozy z kierunku Krasnegostawu. Jadą znacznie wolniej i w odległości kilometra od nas, może nawet trochę dalej, zatrzymują się. Spoglądam na „Saszę", ściska jak ja „pepeszę". Nic nie mówimy, ale myślimy o tym samym. Przypadkowy patrol, czy może coś zwęszyli? W takiej godzinie, psiakrew! Za dwadzieścia minut powinien być pociąg. Czyżby to jakaś obstawa? Odrzucam tę myśl, obstawa na szosie podczas przejazdu w jednym tylko punkcie mija się z celem. Rozumowanie niby logiczne, ale licho ich tam wie, co oni mają zamiar robić. Samochody ciągle stoją, błyszcząc punktami świateł. Nie, jeden rusza, a po chwili drugi. Może wysadzili żandarmów i jadą do drugiego punktu. Nie spuszczam z nich wzroku, są coraz bliżej. Przejeżdżają obok nas, gniotąc kołami kabel. Rozpłaszczyliśmy się z „Saszą" na trawie, to bardzo nieprzyjemne uczucie mieć tuż przed sobą Niemców a nieco dalej ładunek trotylu, z którego nie można zrobić użytku. Na nic zdałby się taki fajerwerk w środku nocy na pustym torze. Samochody giną na drugim krańcu szosy. Koniec alar-

mu, czy dopiero teraz się zacznie na dobre. Czas leci, a my czekamy. Kto wie, co się wyłoni z mroku. Spodziewamy się najgorszego — patrolu żandarmerii z psem, który nas na pewno wyczuje. Niechybnie dojdzie do wymiany ognia i nie zdążymy zniszczyć pociągu. Myśli jak błyskawica przelatują mi przez głowę, nie mogę się skupić. Kompletny chaos, pustka, bo żadnej nie mogę się uczepić.

— Jedzie — mówi cicho „Sasza", a we mnie jakby piorun strzelił.

Otrząsam się. Otwieram szeroko oczy. Opanuj się, człowieku! — odzywa się we mnie jakiś głos. Z oddali już widać pociąg, a ja ciągle wpatruję się w mrok na szosie, przeczuwając każdym nerwem — sam nie wiem dlaczego — że stamtąd wyjdą Niemcy i nie zdążymy zniszczyć transportu. „Sasza" też wyciąga głowę, lecz częściej patrzy na nasyp. Kępa krzewów na jego zboczu, w połowie wysokości, to punkt orientacyjny. Gdy zrówna się z nią lokomotywa, pchająca wagon-pułapkę, wtedy szarpanie kabel.

Łoskot coraz większy. Dym szeroką, ruchliwą wstęgą pędzi na otwarte pola, niesiony podmuchami wiatru. Ciągle nie widać świateł. Czyżby Niemcy postanowili w ogóle nie używać reflektorów, które i tak nigdy nie jaśniały pełnym blaskiem z powodu obowiązującego maskowania. Coś nowego, wywiad nie sygnalizował nam o tym. A może tylko tu, w rejonie niedawnej katastrofy, polecili wyłączyć światła. Żaden pożytek z takiego pomysłu, przecież i tak ich słyszymy i widzimy.

Jeszcze chwila i będzie po wszystkim. Jest wagon-pułapka! Wytężam wzrok i rozpoznaję otwartą platformę z górą worków wypełnionych piaskiem. „Sasza" jest napięty, podnosi się, otwiera usta, odczekuje kilka sekund i — jednym mocnym ruchem zrywa zawleczkę.

Ostry blask i potworny grzmot zlewają się w jedno. Lokomotywę jakby zmiotło w mgnieniu oka, z ogłuszającym trzaskiem wyskakują z szyn wagony, coś zgrzyta i syczy, a wśród tego łomotu bije w niebo gardłowy wrzask przerażonych hitlerowców.

„Sasza" mocuje się z kablem, który nie puszcza. Ciągniemy obaj, raz, dwa, już. Zaplątał się gdzieś po eksplozji w szczątkach żelastwa. W kilku susach dopadamy do chłopców z ubezpieczenia. Coś mi tam mówią jeden przez drugiego, lecz nie mogę ich zrozumieć. Przez chwilę spoglądamy na nasyp, po którym już biegają Niemcy. Gdzie podziała się lokomotywa? Nie ma jej ani na torze, ani pod nim. Czyżby rozsypała się w drobny mak? To przecież niewiarygodne.

— Leży z drugiej strony nasypu — mówi „Stary", jakby odgadując moje myśli. — Widziałem ten moment, podniosła się i już jej nie było.

Poszła w bagno, tym lepiej dla nas. Jeszcze tam stęka i prycha, wyrzuca kłęby dymu, lecz nic nie uchroni jej przed agonią. Podzieli los parowozu, który rdzewieje pod nasypem od czasu naszej poprzedniej akcji.

Choć widok na torze nas podnieca i raduje, nie możemy tu dłużej siedzieć. Już machnąłem ręką na patrol, ale zmusza nas do szybkiego odskoku

czerwone światło rakiet strzelanych seryjnie z posterunku przy moście w Wólce Orłowskiej. Tego lekceważyć nie możemy, na pewno zaalarmowali już żandarmerię w Krasnymstawie, a dzieli nas od niego zaledwie sześć kilometrów. Więc ani chwili zwłoki, biegiem do tyłu.

Po drodze ściągamy chłopców z tyraliery. Jeszcze raz forsujemy Wieprz i prowadzeni przez „Szerszenia" — znowu pokazał klasę — odnajdujemy ukryte wśród drzew podwody. Z woźnicami nie rozmawiamy, choć wiedzą, skąd wracamy i co zrobiliśmy. Na pierwszym postoju, który wypadł w lesie, podszedł do mnie Bartnik.

— Zapowiadałeś dwa, trzy dni i już wracamy? — zdziwił się.

— Bo sam nie wiedziałem, jak ułoży się sytuacja — wyjaśniłem. — Gdyby Niemcy pilnowali toru w nocy, musielibyśmy czekać, a tak to już nie ma potrzeby. Wyobrażasz sobie, co tu się będzie rano działo?

W głębi mamulskiego lasu rozstajemy się z taborem. Mogliśmy wprawdzie podjechać bliżej bazy, lecz tym razem wolałem być ostrożniejszy. Tej nocy po długim marszu urządziliśmy biwak w lesie ostrzyckim. Ponieważ w terenie zaczynało być gorąco, jak nam sygnalizował „Skoczek", postój przedłużył się. Niemcy rozesłali patrole po okolicznych wsiach, przetrząsnęli wiele domów. Sołtysów uprzedzono — nie po raz pierwszy zresztą — że muszą meldować o pojawieniu się obcych ludzi, a jakakolwiek próba udzielenia pomocy partyzantom oznacza wyrok śmierci. Mieszkańcy wzruszeniem ramion kwitowali te pogróżki.

Kres okupacyjnego bezprawia był bliski, każdy o tym wiedział.

Po dwóch dniach w meldunku do dowództwa pisałem: „W nocy 11 maja 1944 roku wykolejono pociąg wojskowy w Tuligłowach. Lokomotywa i pięć wagonów ze sprzętem uległy zniszczeniu. Dwóch Niemców zabitych, pięciu rannych. Przerwa w ruchu trwała dziesięć godzin. W akcji nie poniesiono własnych strat".

Lakoniczny meldunek nie oddawał w pełni wszystkiego, co przeżyliśmy. Nie odzwierciedlał też moralnych efektów naszej akcji, która — jak i poprzednia — odbiła się szerokim echem wśród ludności, budząc uznanie i nawet podziw. Cóż z tego, że Niemcy jeszcze grożą, miotają się, skoro coraz częściej zbierają dotkliwe ciosy. Nasz oddział był jednym z wielu na Lubelszczyźnie, pociągi wylatywały w powietrze na różnych odcinkach dróg kolejowych, nawet tych najbardziej strzeżonych. Każda przerwa w ruchu — mimo manewrów przebiegowych po sąsiednich lub okrężnych trasach — biła bezpośrednio w zaopatrzenie jednostek Wehrmachtu na froncie, stanowiła cząstkę wymiernej pomocy dla walczącej o naszą wolność Armii Radzieckiej. W walce z okupantem nie liczyły się słowa czy chęci, lecz czyny. Takie było nasze stanowisko, partyzantów Armii Ludowej, świadomie zmierzających do wyraźnie wytkniętego celu. Wiedzieliśmy, że ludność solidaryzuje się z nami, odczuwaliśmy na każdym kroku jej poparcie, pomoc i zrozumienie. Gdy o tym rozmawiałem z partyzantami — a zdarzało się to często, bo na pracę polityczną i wychowaw-

czą kładliśmy duży nacisk, stosownie do wymagań stawianych przez partię — oni sami podejmowali sprawę biernej postawy członków Armii Krajowej. Nie znaliśmy wówczas dokładniej struktury tej organizacji na tutejszym terenie, tak jak i oni nie znali naszej. Wiedzieliśmy jednak, że istnieją ich placówki, że zmobilizowano część sił, które wyszły w pole nieźle nawet uzbrojone, ale cóż z tego, skoro o walce z wrogiem ciągle było głucho. Do starć dochodziło w sytuacjach przymusowych, kiedy musieli się bronić, a przecież oni pierwsi powinni atakować, uderzać, niszczyć transport. Znałem osobiście niektórych członków AK, młodych ludzi z miejscowych wsi. Pytałem ich otwarcie, dlaczego siedzą bezczynnie i tylko ćwiczą, zwłaszcza teraz gdy front był tak blisko. „Czekamy na rozkaz dowództwa" — odpowiadali najczęściej, choć sami nie wiedzieli, na co z kolei czeka ich dowództwo. Rozmawiałem z szeregowymi członkami AK, kadra była na pewno lepiej zorientowana w planach swoich wyższych przełożonych, ale do tych ludzi nie mieliśmy dostępu. Unikali nas, nie kryjąc swego chłodu i obcości. O ileż więcej moglibyśmy osiągnąć w walce z wrogiem, gdyby wszystkie organizacje konspiracyjne wystąpiły razem, ramię w ramię, jak głosiły odezwy i apele PPR. Tak, niestety, nie było.

ZA PIĘĆ DWUNASTA

Upływają wiosenne dni. Minął maj, zaczyna się czerwiec. Pogoda zmienna — jest ciepło, lecz często padają deszcze. Rolnicy są zadowoleni, my raczej mniej, choć wiemy, że oni mają rację. Ziemia potrzebuje wilgoci, świeża zieleń rozkwita w oczach.

Oddział jest w ciągłym ruchu, nigdzie nie możemy na dłużej zagrzać miejsca. W połowie maja omal nie doszło do dramatu. Z mamulskiego lasu wymiotła nas obława. Niemcy podeszli skrycie i gdyby nie zdradzili się przedwczesnymi strzałami, mogliby nas osaczyć. Właśnie ten ogień zerwał nas ze snu o świcie. W pierwszej chwili nie mogliśmy się zorientować, gdzie oni są. Echo wśród drzew skołowało nas. Starym zwyczajem wycofaliśmy się w głąb lasu, a nie na jego skraj, którego na pewno pilnowali. Oczywiście nie z każdego kierunku, lecz to pozostawało dla nas zagadką. Oderwaliśmy się od naszego biwaku bez odrobiny żywności i przez cały dzień nie dawał nam spokoju głód. „Skoczek" wrócił z niczym, meldując o posterunkach niemieckich w Piaskach Szlacheckich. W nocy o pustym żołądku pomaszerowaliśmy do lasu ostrzyckiego, ciągle z dala od wsi i dróg. Zastanawiałem się, skąd ta obława. Czy wróg rzeczywiście coś wiedział, czy ruszył do akcji „na nos" — jak to się u nas mówiło. Bardziej prawdopodobna była pierwsza ewentualność, bo jakoś nie mogłem sobie wyobrazić, żeby tak bez niczego, na wyczucie, można było ściągnąć z garnizonów co najmniej dwie kompanie

wojska i żandarmerii. Ktoś przecież o tym decydował, ktoś wydawał rozkazy. Na podstawie czego to robił? Powiedziałem chłopcom o swoich przypuszczeniach, słuchali w milczeniu. Wniosek był jeden — musimy być bardziej niż dotąd ostrożni.

Trzy razy zmienialiśmy miejsce biwaku w lesie ostrzyckim, bo i tam pojawili się Niemcy. Tak się złożyło, że w tym czasie dowództwo okręgu przekazało nam rozkaz wymarszu do lasów janowskich celem przejęcia zrzutu broni i amunicji. Bardzo nas ucieszyło to zadanie. Skompletowałem oddział w składzie pięćdziesięciu pięciu ludzi, przeważnie nowo zmobilizowanych, młodych, częściowo tylko uzbrojonych. Z Huty Turobińskiej dołączyli do nas między innymi: Jan Kalamon, Stanisław Styk — „Rad", Edward Lewczyk — „Jasny", Ludwik Woźnica, Jan Ducha, Antoni Hamerla, Czesław Kondrat i jedna sanitariuszka. Wiele obiecywaliśmy sobie po tym zrzucie, toteż nie martwiłem się, że część chłopców zjawiła się z pustymi rękami. Gdy już rozpakujemy zasobniki, starczy na pewno dla wszystkich — pocieszałem się, widząc oczyma wyobraźni nowiutkie pistolety maszynowe, erkaemy i skrzynki pełne amunicji.

Trzy doby trwał uciążliwy marsz. Na każdym kilometrze ocieraliśmy się o niebezpieczeństwo. Niełatwo było zamaskować czy ukryć tak liczną grupę. Nieludzko zmęczeni i wygłodzeni dotarliśmy wreszcie do wsi Słodków, gdzie zaopiekował się nami tamtejszy komendant placówki AL, Jan Sobutek — „Bocian". Zjedliśmy łapczywie po kawałku suchego chleba z wodą i po krótkim odpoczynku, gdy dołączył do nas czekający już tam „Boleszczyc" ze Stanisławem Lisikiem — „Chwedko" i Bolesławem Pawłowskim — „Profesorem", wszyscy ze sztabu okręgu, ruszyliśmy do Rzeczycy Księżej. Było już późno, padał rzęsisty deszcz. Wieś sprawiała wrażenie wymarłej. Miał nas tam oczekiwać komendant placówki AL, Antoni Drobek — „Kwiatek". Wysłany na zwiad „Skoczek" wrócił roztrzęsiony jak nigdy. Omal nie nadział się na niemieckiego wartownika, który w lejących się strugach wody nie usłyszał kroków obok siebie. Niewiele brakowało do strzału, a wierzyłem, że „Skoczek" strzeliłby pierwszy, kładąc tamtego trupem. We wsi kwaterowali Niemcy, między domami stały czołgi i samochody. Gdy zaniepokojony naradzałem się z „Boleszczycem", co dalej robić w tej sytuacji, odnalazł nas, o dziwo, „Kwiatek". Ryzykował głową, wychodząc ze wsi, ale bardziej bał się o nas. Niewiele mógł nam pomóc, proponował przemarsz do wsi Sułów, gdzie miał być szef sztabu II Obwodu AL, major Jan Wyderkowski — „Grab".

Całą noc staliśmy w małej kępce lasu. Ciągle lało jak z cebra, a kilometr od nas ciągnęły na wschód zmotoryzowane i pancerne kolumny wroga. Nigdy tak nie dłużył mi się czas jak w tej paskudnej słocie, gdy opierałem się o mokry pień drzewa, drzemiąc na stojąco, by choć na chwilę zapomnieć o głodzie i zimnie. Moi chłopcy byli w nie lepszym nastroju, lecz nic im nie mogłem doradzić.

O świcie, po rozpoznaniu terenu, w małych grupach przedostaliśmy się do Sułowa. Mżył nadal

drobny kapuśniaczek, wałehy niskich chmur gnały po niebie, horyzont tonął we mgle.

Jak wilki rzuciliśmy się na jedzenie, które nam dostarczył jeden z uczynnych gospodarzy. Miał kłopot nie lada, bo jak tu nakarmić ponad pięćdziesięciu głodomorów. Chleb i bańka mleka zginęły w oczach, a na miskę zupy, która tak mocno drażniła nasze podniebienia, musieliśmy poczekać do południa.

Zameldowałem się u majora „Graba" i razem rozważyliśmy położenie oddziału. Nie wiedziałem, czy w tych warunkach — gdy we wsiach kwaterowali Niemcy, a ich kolumny waliły na wschód, przecinając naszą marszrutę — zdołamy dotrzeć do miejsca przeznaczenia i przejąć zrzut. Podkreśliłem, że wielu ludzi mam nie uzbrojonych, co w razie walki może tylko powiększyć straty. Major „Grab" wysłuchał mnie i po namyśle rozkazał wycofać się z tego terenu. Był to dla mnie moment przykrej rozterki. Zrzut mógł rozwiązać problem uzbrojenia, liczyłem na to od początku wyprawy w lasy janowskie, lecz z drugiej strony musiałem się liczyć z rzeczywistością. Stanęło więc na tym, że przejmie go któryś z oddziałów operujących w tych okolicach i — jeśli broni starczy — dostaniemy z dowództwa okręgu swój przydział. Lasy janowskie stały się wkrótce widownią ciężkich i krwawych walk, ale gdy opuszczaliśmy Sulów burza wisiała dopiero w powietrzu.

Wyjście ze wsi było trudne. Na pobliskiej stacji roiło się od Niemców, w wąwozie, który był jedyną drogą umożliwiającą wydostanie się z Sulowa,

stały posterunki. Musieliśmy zaczekać do wieczora i w małych grupach, zachowując odstęp czasu, przejść po ścianie wąwozu do młodego zagajnika i dopiero tam przeskoczyć tor, też strzeżony przez Niemców. Tak zorganizowany „wymarsz" trwał kilka godzin, ale na szczęście zakończył się pomyślnie. Oddział zebrał się w całości. Wydawało się, że najgorsze mamy za sobą. Niestety, nadzieja była przedwczesna. Na obszarach, przez które wiodła nasza trasa powrotna, Niemcy urządzali wielkie obławy. W dzień widzieliśmy słupy dymu z płonących chat, powietrze drżało od strzałów z broni maszynowej i huku granatów. Wróg przystąpił do tak zwanego „oczyszczania zaplecza". Front pukał już do bram Lubelszczyzny, hitlerowcy postanowili więc ostatecznie rozprawić się z partyzantami, którzy nie dawali im spokoju. Nigdy dotąd nie prowadzili oni działań z takim rozmachem i tak dużymi siłami. Do akcji wkroczyło regularne wojsko, artyleria i lotnictwo.

Aż cztery doby przedzieraliśmy się do ostrzyckiego lasu, niesamowicie zmordowani, wycieńczeni, nie czując nóg, z resztkami tchu w piersiach. Głód szarpał trzewia, ciągle męczyło nas pragnienie. Piliśmy wodę z leśnych strumyków, lecz stale było jej za mało. Jak na złość nie spadła wówczas ani kropla deszczu, a w nagrzanym powietrzu wisiał kurz wzbijany naszymi butami i piętami. Kilku chłopców otarło sobie nogi do krwi i wędrowało boso.

Nędzny był nasz wygląd, gdy wreszcie, po tylu dniach ciężkiego marszu, dotarliśmy do ostrzyckiego lasu. Ludzie bez komendy padali na ziemię

i zasypiali kamiennym snem. Obudziłby ich tylko głośny strzał.

Odpoczywaliśmy dwa dni, łowiąc uchem detonacje i strzelaninę. Chwilami łudziłem się, że to już front daje o sobie znać, ale prawda była inna. Wciąż trwały pacyfikacje, lała się krew. Nawiązaliśmy kontakt z dowództwem okręgu, informując o przebiegu nieudanej wyprawy po broń i amunicję. Wiedzieli już o tym od „Boleszczyca", który z kolei podał nam garść wiadomości o walkach w lasach janowskich. Zadanie dla oddziału pozostało bez zmian — nadal dywersja kolejowa. Dostaliśmy w tym celu obiecany trotyl.

Najpierw trzeba było jednak zatroszczyć się o żywność, doprowadzić do porządku odzież i obuwie, odesłać do placówek chłopców, którzy nie mieli broni. Z żalem rozstawaliśmy się, bo przeżycia z ostatnich dni zbliżyły nas wzajemnie. Oddział zmalał, lecz została w nim dobrana wiara. Sanitariuszki z igłami dobrały się do naszych spodni i kurtek, ktoś tam odkrył w sobie szewski talent i pokazał, jak należy reperować buty. Poszły w ruch dwa młotki, kopyto, dratwa i nici, pożyczone od gospodarzy. Jakoś sobie z tym radziliśmy, natomiast palącym problemem stawała się żywność. Dwa wypady do liegenschaftów spaliły na panewce, ku naszemu rozczarowaniu. Pierwszy był doszczętnie ogołocony przez żołnierzy niemieckich, w drugim znajdował się tylko zapas owsa. Chłopcy wzięli dwa worki na wymianę, ale tego dnia kolacji nie jedliśmy. Nie było co do kotła włożyć. Zirytowany Bartnik z samego rana wyruszył do wsi i furmanką przywiózł trochę

ziemniaków, kapustę, marchew i worek kaszy jaglanej. Ktoś też obiecał mu słoninę. Jeden kłopot mieliśmy z głowy. „Można jeszcze żyć" — jak powiedział „Skoczek". Dwa lub nawet trzy razy dziennie pitrasiliśmy „partyzancką zupę" i warczące żołądki jakoś się uspokoiły. Coś tam z tych marnych kalorii w organizmie pozostawało.

Jako tako postawieni na nogi przystąpiliśmy do obserwacji „naszej" linii kolejowej, zwłaszcza jej odcinka biegnącego po nasypie w rejonie wsi Tuligłowy. Zwiadowcy przynosili niezbyt pocieszające wieści. Owszem, pociągi jeździły, ale coraz częściej pojawiały się drezyny „przecierające" trasę. Patrolowanie toru trwało okrągłą dobę. „Szerszeń" zauważył, jak Niemcy porozumiewają się w nocy sygnałami świetlnymi.

Kilkakrotnie wyruszaliśmy z naszej bazy, czatując przy nasypie, i każda wyprawa kończyła się odwrotem. O wyjściu na strzeżone tory mowy nie było. Na naszych oczach odbywała się „zmiana warty". Widzieliśmy, jak Niemcy wychodzą z ukrycia i wsiadają do samochodu, z którego wyskoczyła kolejna grupa wachmanów. Mieliśmy ich na muszkach, przed sobą o sto metrów, lecz nie pozwoliłem strzelać. Polowaliśmy przecież na grubego zwierza, a nie na płotki. Chwilami wydawało mi się, że musimy zmienić rejon akcji, ale dwie lokomotywy po obu stronach nasypu, bezużyteczne wraki, zachęcały do powtórzenia saperskiej roboty właśnie tam. To patrolowanie nie mogło trwać bez końca. Gdyby Niemcy chcieli w ten sposób chronić każdy z zagrożonych odcinków linii kolejowych, a takich było wiele, nie

starczyłoby im po prostu ludzi. Trzeba więc uzbroić się w cierpliwość i zaczekać na bardziej sprzyjający moment, który prędzej czy później nadejdzie.

Nasz wywiad stale sygnalizował, co warto wysadzić. Prowadziłem dokładny rejestr tych pociągów i na podstawie analizy czasu przejazdów zorientowałem się, że jest ich najwięcej między godziną 23.30 a 0.30, potem następowała przerwa i mniej więcej od godziny 4.00 do 6.00 pojawiała się kolejna grupa transportów. Brałem oczywiście pod uwagę czas przejazdu na nasypie, który ulegał zmianie na innych odcinkach długiej trasy, ale to już nas nie interesowało. Na „celowniku" nadal pozostawał rejon wsi Tuligłowy.

Czekaliśmy długo, dni leciały, aż wreszcie dotarła do nas pomyślna wiadomość. Częstotliwość patroli zmalała, w porze nocnej nie widać ich wcale. Nie ma drezyn na torze. „Skoczek" potwierdził ten meldunek. Spędził na punkcie obserwacyjnym całą noc i wszedł nawet na nasyp, nikogo nie widząc w pobliżu. Zganiłem go trochę za tę brawurę, lecz wrócił cały, co było najlepszym dowodem, że możemy się zabrać do poważniejszej roboty. Brak Niemców na torze wcale nie oznaczał powodzenia akcji, musieliśmy być przygotowani na różne niespodzianki, zwłaszcza na trasie domarszu i odskoku. Nie powiedziałem od razu chłopcom, dokąd się wybieramy, lecz zorientowali się sami, gdy „na boku" spędziłem z „Saszą" kilka godzin. Prywatnych czy osobistych tajemnic wówczas nie mieliśmy, o czym więc mogliśmy tak długo rozmawiać. To było oczywiste. Pozostawało

tylko pytanie, kiedy i gdzie? Na „naszym" nasypie czy gdzieś dalej?

Datę akcji ustaliłem na 17 czerwca, korzystając — jak zwykle w takich sytuacjach — z meldunków naszego wywiadu i własnych obserwacji. Zapowiadano dwa duże transporty wojskowe, jadące w odstępie trzydziestu minut. Oczy śmiały mi się na myśl „zaliczenia" takiego dubletu, ale „Sasza" jako fachowiec sceptycznie kręcił głową. Po prostu nie da rady. Dobrze będzie, jeśli wywalimy pierwszy transport, co spowoduje zatrzymanie drugiego na ileś tam godzin, a o to przecież chodzi.

W przeddzień wyprawy spotkała nas miła niespodzianka — przybył „Cygan" na czele kilkuosobowej grupy partyzantów z oddziału Ludwika Paszkowskiego — „Lutka". Porozmawialiśmy sobie serdecznie o naszych wspólnych osiągnięciach i trudnościach, zerkając na kocioł, przy którym medytował Bartnik ze swoimi pomocnikami. „Cygan" jako dobry gospodarz domyślał się, że z jedzeniem jest u nas krucho, toteż uraczył kucharzy workiem kaszy i soloną słoniną. Od razu zapanowała atmosfera bardziej swojska, wspomnieniom nie było końca. Opowiedzieliśmy wiele o sobie, ale okazało się, że „Cygan" też nie próżnował. W rejonie Tarzymiech i Ruskich Piasków jego ludzie wspólnie z partyzantami radzieckimi wykoleili cztery pociągi. Dobrali się także do skóry niemieckim osadnikom we wsiach Zamojszczyzny. Podczas ostatniej wyprawy po prowiant doszło do zaciętej walki z użyciem granatów. Niemcy ze wsi Nawóz — już inaczej przez nich nazwanej,

jak to było w zwyczaju hitlerowców — nie dali
się zaskoczyć i pierwsi otworzyli ogień. Party-
zanci odwzajemnili się z nawiązką i po tym star-
ciu, na drugi dzień, wszystkich osadników jakby
wymiotło. Zrozumieli, że nie mają czego szukać
na polskiej ziemi. Żywiołowej ewakuacji czy ra-
czej ucieczki, która objęła wiele innych wsi zaję-
tych przez kolonistów, nie mogły opanować nawet
władze administracji, zresztą także czekające na
swój dzień z wyładowanymi walizkami. Nie było
już wtedy „odważnych", okupacja osiągała swój
bezpowrotny kres.

„Cygan" zainteresował się bardzo planem naszej
akcji. Chociaż miał prawo odpocząć po długim
marszu, postanowił dołączyć do nas z partyzanta-
mi „Lutka". Musieliśmy zorganizować o jedną
podwodę więcej, co sprawiło nam trochę kłopotu.
Sytuacja w terenie była napięta, w okolicznych
wsiach i na biwakach pod gołym niebem kwate-
rowały niemieckie oddziały. Zorientowaliśmy się,
że są to głównie wycofane z frontu formacje
różnych służb kwatermistrzowskich — ruchome
składy, warsztaty, węzły łączności, polowe szpitale
ewakuacyjne i w ogóle wielki kram tyłowy jed-
nostek liniowych, sklecony byle jak ze śladami
zmęczenia i zużycia — lecz w niczym nie wpły-
wało to na poprawę naszego położenia. Niemcy
byli uzbrojeni po zęby, pełnili stale wartę, kon-
trolowali drogi i przejścia, zaczęli rekwirować
konie i wozy, strzelali po nocach. Z wielu wsi
sterroryzowana ludność uciekła, szukając schro-
nienia w lasach. Los tych nieszczęśliwych rodzin
budził grozę i gniew. Hitlerowcy splądrowali ich

chaty, rabując resztki dobytku lub niszcząc go bez żadnego powodu, ot tak dla zasady, aby po nich pozostała tylko spalona ziemia, nędza i głód, nie mówiąc już o ofiarach i łzach.

Gdy słuchaliśmy o tym wszystkim, gdy na własne oczy widzieliśmy, co wyczyniają w ostatnich dniach niewoli, ogarnięci jakąś wręcz nieludzką pasją niszczenia i zabijania, rosła w nas wola walki. I chyba właśnie dlatego „Cygan" nie chciał zostać w lesie, gdy szykowała się kolejna akcja.

Ruszyliśmy o zmroku na pięciu podwodach, zachowując maksymalną ostrożność i duże odstępy. Noc była ciemna, na południu jaśniała tylko odległa łuna, jakby w ogniu stała jakaś wieś. Widok ponury, groźny, lecz wcale nie wyjątkowy w tamtych dniach. Przypomniały mi się poprzednie wyprawy w mroku i sam się dziwiłem, że wszystko przebiega zgodnie z planem. Rosło tylko napięcie na każdym kilometrze i męczyło wzrok intensywne wpatrywanie się w otaczającą nas ciemność. Dopiero na miejscu, pod nasypem, zwiadowcy powitali nas alarmującym meldunkiem: w Wólce Orłowskiej znowu powiększono załogę, na szosie widzieli patrol.

„Cygan" spojrzał na mnie i chociaż o nic nie zapytał, zrozumiałem, że ocenia sytuację jako poważną. Patrol mógł zająć skryte stanowisko i otworzyć ogień w chwili, gdy znajdziemy się na torze. Tym razem gra szła o wysoką stawkę.

— Spróbujemy — powiedziałem, starając się zachować spokój. — Bierz torbę, „Sasza".

Nigdy jeszcze tak szybko nie wskoczyliśmy na

nasyp. Chociaż do przejazdu pociągu — tego pierwszego — pozostawało blisko pół godziny, robota paliła nam się w rękach. Nie padło wówczas ani jedno słowo. „Sasza" tylko na koniec klepnął mnie w ramię i pokazał dół. Jazda po zboczu trwała krócej niż wspinaczka, a to już były sekundy. Na wszelki wypadek wycofaliśmy się znacznie dalej od szosy, chociaż chłopcy — rzecz normalna w takich okolicznościach — chcieli z bliska zobaczyć skutki wybuchu, a szczególnie moment stoczenia się lokomotywy po nasypie, który czynił największe wrażenie. „Raz zobaczyć i umrzeć" — jak ktoś kiedyś powiedział oszołomiony tym widokiem, co niestety w innych „kolejówkach" niejednemu się przydarzyło.

Byliśmy już o kilometr od toru, gdy pojawił się na nim pociąg, a w chwilę potem chlusnął oślepiający snop światła i grzmot przetoczył się po polach. Z tej odległości niewiele mogliśmy dostrzec, ale każdy wiedział, co tam się dzieje. Rozbita lokomotywa i wagony, zniszczony sprzęt, straty w ludziach, transport zatrzymany i sporo godzin upłynie, zanim ekipa z pociągu remontowego doprowadzi tę piramidę złomu do porządku. Cieszył nas ten sukces, lecz ważniejszy był sprawny odskok. W Wólce Orłowskiej rozszczekały się długimi seriami karabiny maszynowe, padły strzały w Tuligłowach, poszły w górę białe rakiety, oświetlając jaskrawym blaskiem pobliskie pola. Trzeba było wycofywać się, i to jak najszybciej, aby nie ściągnąć pościgu na kark. Niemcy co prawda niechętnie wyruszali w mrok, któż mógł jednak wiedzieć, jak postąpią tym razem, czy po

tylu niepowodzeniach nie zarządzą natychmiastowej akcji poszukiwawczej w terenie sąsiadującym z miejscem dywersji. Wszak znajdowaliśmy się ciągle w ich zasięgu. Chłopi oczekujący przy swych furmankach na nasz powrót byli ogromnie zdenerwowani. Ruszyli z kopyta, gdy tylko zdążyliśmy zająć miejsca. Wytrzęsło nas jak nigdy na wyboistych drogach, bo nie żałowali koni. A strzały dudniły z różnych stron, jakby Niemcy w ten sposób nawoływali się do wspólnej wyprawy bądź sygnalizowali, że czuwają na swych posterunkach. Nasz tabor kluczył między wsiami, kierując się do Chłaniowa, gdzie — według relacji „Cygana" — miało być nieco spokojniej, a w każdym razie od tygodnia nie widziano tam Niemców. Sporo prawdy w tym było, lecz spodziewając się licznych patroli — jak zawsze po zniszczeniu pociągu — wolałem przejść z całym oddziałem do lasu. W Chłaniowie „Cygan" zaopatrzył nas w żywność — chleb, trochę nabiału i połówkę wieprza — toteż przez kilka dni mogliśmy biwakować w kniei, nocując pod gwiazdami.

Ten przymusowy odpoczynek dobrze nam zrobił, tym bardziej że czekał nas okres najważniejszy — spotkanie z frontem, z żołnierzami Armii Radzieckiej, z wolnością. Wszystko, o czym marzyliśmy przez tyle lat długich i ponurych, miało się niebawem stać rzeczywistością. Zastanawiałem się ciągle, jak to będzie, co nam przyniesie przyszłość, gdzie ma być nasze miejsce — w odrodzonym Wojsku Polskim, które u boku Armii Radzieckiej maszerowało do kraju, w organach porządku publicznego, które trzeba będzie od pod-

staw zorganizować, a może partia skieruje nas do jakiejś innej pracy nad odbudową tego, co zniszczył okupant.

Zwiad znowu sygnalizował o wzmożonym ruchu Niemców. Na zachód wycofywały się służby, przeciążone mnóstwem wszelakich pojazdów mechanicznych i taborami konnymi. Wierzyć się nie chciało, że wróg ma aż tak rozwinięte zaplecze, tyle sprzętu i że w ogóle w piątym roku wojny jest jeszcze takie mrowie wojska w znienawidzonych mundurach. Za tą ogromną falą zaczęły się pojawiać oddziały frontowe, bardziej przerzedzone, lecz jeszcze nie zdradzające oznak rozkładu czy braku tej ich pruskiej dyscypliny, utrzymującej w karbach posłuszeństwa plutony, kompanie i bataliony. Wiedzieliśmy, że sami nie odejdą. Nie po to zajmowali wsie, ryli okopy i stanowiska dla dział, gromadzili amunicję. Trzeba ich było złamać w walce i tę wyzwoleńczą misję, nie szczędząc potu i krwi, spełniał żołnierz Armii Radzieckiej, któremu na miarę swych sił udzielaliśmy pomocy.

Nasze położenie było jednak coraz trudniejsze. Wróg ograniczył do minimum swobodę ruchów, po prostu był wszędzie, w masie czuł swoją przewagę. Ostatnią akcję przeprowadziliśmy w nocy 27 czerwca 1944 roku, wysadzając jeszcze jeden pociąg pod Tuligłowami, prawie w tym samym pechowym dla hitlerowców miejscu, gdzie leżała nasza pierwsza lokomotywa. Nie wróciliśmy, niestety, całym oddziałem do bazy w Ostrzycy Dworze. Na skutek pościgu i obławy musieliśmy się rozczłonkować. Część chłopców przyszła dopiero

po kilku dniach pojedynczo, przedzierając się przez posterunki i linie Niemców. Każda następna akcja w takich warunkach byłaby przeciągnięciem struny, na hazard nie mogłem się zdecydować. Obowiązywała nas dyscyplina, zrozumienie tego, co, kiedy i gdzie robimy.

Na krótko przed wyzwoleniem łączność z dowództwem okręgu została przerwana. Kontaktowałem się poprzez łączników z „Cyganem" i z dowódcami innych oddziałów czy zgrupowań AL biwakujących w Wielobyczu, Czystej, Dębinie i pobliskich miejscowościach, a właściwie w położonych obok nich lasach i jarach. W utrzymaniu łączności pomagały nam kobiety i dzieci, które łatwiej, choć też nie bez ryzyka, mogły poruszać się w terenie obok posterunków niemieckich.

Front zbliżał się z każdym dniem. Wiatr od wschodu przynosił echo artyleryjskiego ognia, coraz częściej widzieliśmy samoloty z czerwonymi gwiazdami, które prowadziły rozpoznanie lub z małej wysokości, tuż nad dachami domów i koronami drzew, ostrzeliwały Niemców z działek i karabinów maszynowych. Hitlerowcy bali się szczególnie szturmowych *Iłów*, o których dowiedzieliśmy się wiele od radzieckich partyzantów.

Sytuacja zmuszała nas do ciągłego ruchu, dłuższy postój w jednym miejscu, pozornie nawet bezpiecznym, mógł nas drogo kosztować. Podczas tych przemarszów, nocnych i dziennych, raz po raz dochodziło do krótkich starć z małymi grupami hitlerowców. Trafiali się nawet maruderzy, chodzący z bronią samopas, szukając alkoholu i żywności w porzuconych domach. Ich ofiarą pa-

dały młode kobiety, na widok mężczyzn albo strzelali, albo szukali ukrycia. Partyzantów bali się jak ognia.

Wszystkie dokumenty, rozkazy, meldunki i plany włożyliśmy do butelek i zakopaliśmy, by nie dostały się w ręce hitlerowców i nie uległy zniszczeniu. Ostatni rozkaz z dowództwa okręgu — doręczony mi przez łącznika Stefana Heleniaka — „Lonkę" dotyczył uroczystego powitania żołnierzy Armii Radzieckiej oraz powołania posterunków straży ludowej i pomocy w organizowaniu rad narodowych jako nowych organów władzy na wyzwolonych terenach. Godzina wolności była więc już bliska. Właśnie w tej sprawie postanowiłem udać się do „Cygana", aby z nim, człowiekiem bliżej związanym ze sztabem, uzgodnić różne szczegóły i kwestie. Był na pewno lepiej zorientowany, a ponadto — co tu dużo mówić — rozpoczynał się dla każdego z nas nowy okres.

Wczesnym rankiem 25 lipca wybrałem się furmanką z kilkoma partyzantami do Chłaniowa. W pobliżu wsi Wierzbica zobaczyliśmy grupy uciekających ludzi, przerażonych, bladych, zupełnie roztrzęsionych. Zatrzymywani nie chcieli nic mówić i dopiero od kilku znajomych dowiedzieliśmy się całej prawdy. W nocy z 24 na 25 lipca podczas ewakuacji partyzanckiego szpitala, który znajdował się w Chłaniowie, nieoczekiwanie wpadł do wsi samochód z hitlerowskimi oficerami, podjeżdżając w świetle reflektorów do furmanek z rannymi. Partyzanci z obstawy, widząc grożące niebezpieczeństwo, otworzyli ogień z pistoletów maszynowych. Samochód momentalnie stanął

w płomieniach, w jego wnętrzu pozostało czterech zabitych. Nie bacząc na eksplodującą amunicję, partyzanci wydostali z niego ważne mapy i dokumenty wojskowe. Wszystko trwało zaledwie kilka minut.

O świcie Niemcy otoczyli Chłaniów, rozstrzeliwując na miejscu każdego, kto nawinął im się pod lufy. Śmierć poniosły czterdzieści dwie osoby, całe rodziny Moników, Borowców, Podsiadłych i Marczewskich. Zamordowano też Katarzynę Król — matkę „Cygana". Spalono około stu gospodarstw chłopskich.

Biednym, strapionym ludziom poradziliśmy pozostać w Wierzbicy do czasu przyjścia pierwszych żołnierzy radzieckich. Sami też musieliśmy zawrócić. Nie wiedziałem jeszcze, że w tym czasie w walce z hitlerowcami w Piaskach Szlacheckich poległ Jerzy Krawczyk — „Skoczek", odważny zwiadowca, który tyle zrobił dla naszego oddziału. Wolność była już tak blisko, a ludzie nadal ginęli.

W przeddzień wyzwolenia znalazłem się w lesie w pobliżu mojej rodzinnej wsi. Zebrało się tam kilkunastu partyzantów z różnych placówek i oddziałów. Byliśmy „przetasowani" wskutek ciągłych zmian miejsc postoju, wielu pogubiło się, straciło kontakt z bliskimi. Front przetaczał się obok nas. Widzieliśmy walki powietrzne nad Krasnymstawem i po raz pierwszy w życiu spadające w dół w płomieniach samoloty Luftwaffe. To już nie był wrzesień 1939 roku, kiedy czarne krzyże bezkarnie niosły śmierć i pożogę. Przeżyliśmy potworną kanonadę artylerii, siedząc pod drzewami w mroku, który raz po raz rozbłyskiwał ogniem.

Ziemia kołysała się od wybuchów przenoszonych coraz dalej na zachód. Aż wreszcie nadszedł moment radości. Wstawał świt, na niebie snuły się dymy, w lesie panowała cisza. Wyszliśmy na jego skraj i nagle ktoś krzyknął:

— Idą! Patrzcie, idą!

Spojrzeliśmy jak jeden w stronę choin na krasnostawskiej drodze. Powoli zbliżała się grupa żołnierzy w wypłowiałych od słońca mundurach, długich butach, z „pepeszami" w dłoniach. Ta broń rozwiała wszelkie wątpliwości, to byli Rosjanie. Wszystkich w lesie ogarnął jakiś szał, skakali, całowali się, krzyczeli na całe gardło. Wieść o przybyciu żołnierzy Armii Radzieckiej lotem błyskawicy dotarła do koczujących ludzi, którzy opuścili wieś. Trudno opisać, co tam się działo.

Radzieccy piechurzy, chyba zwiadowcy w szpicy jakiejś większej jednostki, zatrzymali się na drodze i po chwili skręcili do pustej wsi. Natychmiast zarządziłem wymarsz swego oddziału, aby ich tam powitać. Dołączali do nas ludzie z całymi rodzinami. Dziewczęta rwały kwiaty na łąkach, skromne, ale stanowiące podarunek od serca, braterski. Żołnierze dostrzegli ten korowód ludzi, zaczęli iść w naszym kierunku. Wysunąłem się na czoło, a obok mnie Mieczysława Palat, Anna Panas, Helena Bis i Genowefa Głowacka z naręczami kwiatów. Jeszcze chwila i oto już są — pierwszy zbliża się wysoki, szczupły blondyn w „gimnastiorce" z dystynkcjami lejtenanta, a za nim żołnierze, młodzi, o ogorzałych twarzach, w zakurzonych butach, uśmiechający się na nasz widok. Przyjacielskim uściskom nie było końca, ludzie płakali

z radości. Nawet oni, frontowcy z pierwszej linii, zahartowani w bojach, też ukradkiem ocierali łzy. Radziecki oficer przyglądał mi się, jakby chciał zapamiętać moją twarz, i wręczył mi na pamiątkę spotkania busolę. Podziękowałem mu ze wzruszeniem i odwzajemniłem się jedynym wartościowym przedmiotem, jaki wówczas miałem — wiecznym piórem. Od niego dowiedzieliśmy się, że wyzwolono już Lublin i Chełm, a wraz z oddziałami radzieckimi przybyły już tam pierwsze jednostki Wojska Polskiego.

Niedługo trwało serdeczne spotkanie. Lejtenant dał znak swoim żołnierzom i wszyscy wyruszyli w stronę Gorzkowa i Żółkiewki, rozglądając się po okolicznych polach. Jeszcze tego dnia widzieliśmy wiele innych oddziałów, które zmierzały na zachód. Ochłonęliśmy dopiero późnym wieczorem, pełni wrażeń i nadziei, a nazajutrz czekała nas nowa praca — tworzenie od podstaw zrębów ludowej władzy. Okres niewoli mieliśmy za sobą, otwierała swe podwoje przyszłość...

Pięć tysięcy dziewięćset siedemnasta publikacja Wydawnictwa MON

Printed in Poland

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej
Warszawa 1977 r. Wydanie I

Nakład 240.000+350 egz. Objętość 4,76 ark. wyd., 3,75 ark. druk. Papier druk. sat. VII kl. 65 g z roli 63 cm z Głuchołaskich Zakładów Papierniczych. Oddano do składu 18.9.76 r., druk ukończono w styczniu 1977 r. w Wojskowych Zakładach Graficznych w Warszawie.
Zam. nr 876

Cena zł 7.— J-112